



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 11(231) Żelów, listopad 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Anny Andrych, Bronka z Obidzy, Kazimierza Burnata, Andrzeja Dębrowskiego, Józefa Plessa, Joanny Słodyczki, Marka J. Stępnia, Andrzeja Waltera

Andrzej Dębrowski – *Adam Szyper*

Leszek Żuliński – *Górska nuta*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja pisana skalpelem wiersza*

Stefan Jurkowski – *Zaplatanie sieci*

Andrzej Bartyński – *Niech usłyszą wszyscy wszędzie*

Kazimierz Iwosse – *Uchodźstwo to brzmi gorzko*

Joanna Friedrich – *Wielka improwizacja*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Emil Biela – *Pół wieku poetyckiej wierności*

Kazimierz Świągocki – *Limanowa poezją pachnąca*

Grażyna Adamczyk-Lidtko – *Kto wymyślił demokrację?*

Mirosław Majewski – *Człowiek, którego nie było*

Andrzej Walter – *Zegarmistrz światła*

Ilona Słojewska – *„Czarownica w sypialni” Renaty Blicharz*

Wydarzenia, Informacje, Imprezy, Noty
Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Poglądy

Konkursy, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

foto: Andrzej Dębrowski

Kronika

Jubileusz Anna Andrych

Anna Andrych obchodzi jubileusz 30-lecia pracy twórczej. Urodziła się i mieszka w Zduńskiej Woli, choć jej życiorys zawiera siedmioletni wątek poznański.

Debiutowała na łamach „Zielonego Sztandaru” w 1985 roku. Czytała swoje wiersze na antenie m.in. I programu Polskiego Radia i kilkakrotnie Radia Łódź oraz rozgłośni regionalnych. Współpracowała z pismem kulturalno-społecznym „Siódma Prowincja” i tygodnikiem „Życie Zduńskiej Woli”. Publikowała wiersze m.in. w „Akanicie”, „Gazecie Kulturalnej”, „Polityce”, „Śladzie”, „Frazie”, „Tyglu Kultury”, „Metaforze”, „Słowie Powszechnym”, „Integracjach”, „Siódmej Prowincji”, „Poezji dzisiaj”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Morzu i Ziemi”, „Kujawach i Pomorzu”, a także w polonijnej prasie Kanady, Norwegii i Wielkiej Brytanii. Jej poezja była również tłumaczona na język niemiecki, czeski, bułgarski i ukraiński.



Anna Andrych

Jest autorką siedmiu książek poetyckich. W 1987 roku ukazał się arkusz poetycki „Kariatyda”, a następnie tomiki: „Jabłoi” (1991), „Do dna” – uznany najciekawszą książką roku 1996 na XIX Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu, „Ucieczka z Hadesu” (1998), „Rękawiczka” (2000), „Zanim wypłynie świt...” (2008). Jej wiersze znalazły się w licznych almanachach i antologiach literackich. Jest laureatką kilkudziesięciu konkursów literackich, m.in.: I Nagrody w Łódzkiej Wiośnie Poetów. Tom pt. „Do dna” została uznana za najciekawszą książkę poetycka XIX Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu.

W 1987 roku była współzałożycielką Klubu Literackiego „TOPOLA” przy Miejskim Domu Kultury w Zduńskiej Woli. Za działalność w tym klubie oraz w Zarządzie Klubu Pracy Twórczej przy WDK w Sieradzu otrzymała tytuł i odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.

Współpracuje ze Stowarzyszeniem Autorów ZAiKS.

Od 1999 roku do Związku Literatów Polskich – od kwietnia 2015 sekretarzem zarządu oddziału poznańskiego, a także członkiem Głównego Sądu Koleżeńskiego ZLP.

Jubileusz Leszka Żulińskiego

Leszek Żuliński obchodzi jubileusz 40-lecia pracy literackiej. Urodził się 25 sierpnia 1949 roku w Strzelcach Opolskich), polski krytyk literacki, poeta, publicysta, felietonista.

Debiutował na łamach prasy w 1971 roku. Ukończył studia w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował następnie w Krajowej Agencji Wydawniczej jako redaktor (1973-1982). Był kierownikiem działu literackiego pism: „Tu i Teraz” (1982-1986), „Kultura” (1986-1987) i „Wiadomości Kulturalne” (1994-1998). Pełnił funkcję sekretarza redakcji w „Literaturze” (1987-1994). Współpracował z wieloma pismami kulturalnymi i literackimi; nadal publikuje m.in. w „Autografie”, „Twórczości”, „Gazecie Kulturalnej” oraz w piśmie „The Voice. Polish-American Media”, wydawanym w USA. Od 1997 roku publikował cykl felietonów „Czarne dziury” w „Aneksie” – dodatku kulturalnym do „Trybuny”. Był pracownikiem TVP SA.



Leszek Żuliński

Członek Związku Literatów Polskich (1980-1981 i od 1983), w tym członek i skarbnik Zarządu Głównego i wiceprzewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej. Stowarzyszenia Dziennikarzy RP (od 1990), International Board on Books of Young People (członek Sekcji Polskiej 1980-1983), L'Association Internationale de la Critique Littéraire (członek Sekcji Polskiej 1986-1989).

Juror niezliczonej liczby konkursów literackich. Od 1985 do 2009 roku zasiadał w kapitule Warszawskiej Premiery Literackiej. Od 1980 roku jestem członkiem Związku Literatów Polskich, w latach 2003-2011 pełniłem funkcję członka prezydium ZG ZLP, skarbnika ZG ZLP i wiceprzewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej.

Autor kilkudziesięciu książek. Laureat wielu nagród literackich, m.in.: Nagroda Pióra Czerwonej Róży (1985), Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (1989), Nagroda im. Emila Granata (1993), Nagroda im. Klemensa Janickiego (1995), Wielki Laur XII Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórza w Dziedzinie Krytyki (2002; 2011), a w roku 2008 jego tom „Ja, Faust” wyróżniono tytułem najlepszej książki poetyckiej roku na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu.

Festiwal Poezji Słowiańskiej w Londynie i w Warszawie

W dniach 1-7 października br. odbywał się Festiwal Poezji Słowiańskiej: pierwsza jego część w Londynie (III edycja), druga w Warszawie (VIII edycja). Organizatorami w Londynie byli: Grupa artystyczna KaMPe przy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Redakcja „POEZJA dzisiaj”, Instytut Bułgarski, Authors and Publicists International Association /APPIA/, Dance Club Bulgara London, Folk ARTel Roussy-Lebedy. Patronatu medialnego udzielił Festiwalowi „Tydzień Polski”. Międzynarodowi twórcy z krajów słowiańskich przyjęci zostali w Ambasadzie Polskiej przez ambasadora Andrzeja Sobków, który uhonorował Aleksandra Nawrockiego, przewodniczącego delegacji polskiej, „Dyplomem Gratulacyjnym Ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie – „Za zasługi w organizacji międzynarodowych wydarzeń poetyckich i upowszechnianie literatury polskiej za granicą”, a prezes Authors and Publicists International Association z siedzibą w Londynie i z oddziałami w 100 krajach świata wręczył mu legitymację członkowską tej organizacji. Od Grupy artystycznej KaMPe Aleksander Nawrocki otrzymał The Festival of Slavic Poetry Prize. Główne uroczystości Festiwalu odbywały się w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym oraz w Instytucie Bułgarskim. Zaprezentowano wielokulturowe osiągnięcia narodów słowiańskich. Oprócz poezji i dyskusji były koncerty, pokazy taneczne i wiersze uczniów z polskiej szkoły przy naszej ambasadzie. Nad całością czuwał Aleksy Wróbel, poeta, autor tekstów piosenek, prezes grupy artystycznej KaMPe i członek Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Bezpośrednio po edycji Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Londynie jego uczestnicy przyjechali na VIII Festiwal Poezji Słowiańskiej w Warszawie, zorganizowany przez Redakcję „POEZJA dzisiaj”. Pierwsza część imprezy odbyła się w warszawskim Domu Polonii, druga w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, trzecią – ze wspaniałym koncertem poetycko-muzycznym – zorganizowała Żyrardowska Resursa. Dalsze imprezy odbędą się m. in. w Piastowie, Czechowicach-Dziedzicach, Bielsko-Białej, Cieszynie, etc. W Festiwalu oprócz literatów wzięły udział liczne grupy młodzieży i studentów.

W roboczej części Festiwalu uzgodniono wydawanie kolejnych książek twórców polskich za granicą i zagranicznych w Polsce oraz wspólne organizowanie Światowych Dni Poezji UNESCO – m.in. w Rumunii, Irlandii, a także w Riazaniu i Jasnej Polanie, miejscach związanych z wybitnymi twórcami rosyjskimi: Sergiuszem Jesieninem i Lwem Tołstojem. Do rąk uczestników Festiwalu trafił też najnowszy, 112/113 numer „POEZJA dzisiaj”, w którym wiersze 16 poetów polskich zaprezentowano w języku polskim i angielskim.

[an]



Marek Jastrząb

Po-ranne noce (6)

Wnętra postaci Balzaka nie zmieniły się, tylko czas odrzucił przebrzmiałe dekoracje: gustu, smaku, wrażliwości.

Dawne margrabiny wymazano z pamięci: rozproszyły się po niebytach, a bale w wywoskowanych salonach zastąpiły dyskoteki. Dżinsy wyparły z istnienia fantazyjne suknie z atlasu.

Po starych szpanach i symbolach zginął ostatni ślad, ale tak wtedy jak dziś, toczy się żółwia gra o lepsze jutro.

Muza

Początki: nie ma swojej Celesty opisującej mu wielkopańskie narowy, chusteczki, trykoty, okulary kupowane na tuziny i zamówione do domu kameralne kwartety. Nie ma wiernej Celesty – sekretarki, powiernika najskrytszych tajemnic, lojalnego Cerbera i osobistego bramkarza, kobiety kochającej Prousta jak własne dziecko; w zamian jest z nim pani Laura de Berny.

To pierwszy i długotrwały związek Honoriusza. Związek z kobietą o wieku sentymentalnym i zaprzyszłym; dla innych, lecz nie dla niego. Dla niego był to związek – zmysłowy. Najpierw fizyczny, a w późniejszej fazie – tylko przyjacielski, zwykle jednak nacechowany obustronną wyrozumiałością i wzajemną rewerencją; związek ascezy i zgody na nienasylenie.

Kiedy spotykają się, Balzak ma 22 lata, Laura – 45.

Początek znajomości nie jest zachęcający. Zanim ulegnie płomiennym namowom Honoriusza, minie rok. Ma obiekcje, waha się: wprawdzie mógłby być jej synem (niekiedy jest irytującym dzieciuchem), ale na jego korzyść przemawia niepospolita imaginacja i przebłyński talent. Maniery Honoriusza pozostawiają wiele do życzenia; jeszcze nie potrafi językowo pełzać, a już chce być sławnym literatem.

Pisze niezgułowate powiastki, ckliwe ramoty, tandetne, schematyczne, bez polotu, nieprawdopodobne, naszpikowane korsarzami, aniołami, nierealną interwencją sił wszechmocnych, a nieczystych: przesłodzone westchnieniami, roztrzęsione epistoły fabrykowane pod niewybredny smak publikii.

Tworzy fabularne półwyroby galanteryjne: niby w historycznym kostiumiku, niby w żabotach z epoki, ale gdy nadzieja się na problem, który przekracza wąskie gardło jego wiedzy, omija go i na brzegu swoich elaboratów umieszcza niefrasobliwą adnotację, że

błędy, które popełnił, są zamierzone, celowe, przemyślane.

Co prawda pisze pod pseudonimem, ale nie są to utwory dojrzałe, ostateczne, skończone; wymagają dopracowania, nadania im szlif, odpowiednich tonacji, indywidualnych rysów, tych cech, których brakuje: oryginalności, niepowtarzalności; lecz kto, jak nie ona, mogłaby stać się jego nauczycielką, wychowawczynią, mentorką, przewodniczką po oglądzie i dobrym smaku?

Wprawdzie jest bezkrytyczny w stosunku do swoich umiejętności, lecz jakie to wdzięczne zadanie dla kobiety, wywierać wpływ na najdroższego, być Muzą Geniusza, zrobić z Zapowiedzi Wielkiego Człowieka – doskonałość?

I po roku następuje to, co mogło już do roku trwać. A po czterech – nie widzi za nim świata.

Jest odtąd lepszą częścią jego duszy. Przy niej Balzak odpoczywa, z nią dzieli się myślami, obawami, rozterkami, rozacza plany, zwierza się jej i jej się powierza bez reszty. Przy niej może być sobą; bezpieczny, oswojony z udrękiem.

Laura jest nadworną recenzentką trawiących go płomieni; zna go jak nikt. Uczy go; rozwija w nim nieprecyzyjne, jeszcze uśpione sposoby widzenia i syntetycznego oceniania świata, odświeżania nie wybrakowanych wartości, od wartości pokancerowanych.

To ona, wypali swoje piętno na „Komedii Ludzkiej”.

Przymiarka

Z rodzinnych narad i przesadnych kalkulacji wynika, że Honoriusz jest najbardziej obiecującym kandydatem do odbioru Literackich Wawrzynów Złotego Cielca, jedzie więc do Paryża po aplauzy. Jednak wkrótce okazuje się, że zamiast uznania, sławy i worka z pieniędzmi, czeka go żmudna i niewdzięcznej robota. Na początek wciela w życie historyczne wypracowanie: mozolnie dziergany dramat wierszem pod wezwaniem „Cromwell”.

Pisze uskrzydłony determinacją, ponaglany wiarą w swoje siły, ufnością potwierdzoną mizernym rezultatem. Właściwie nie tyle go pisze, co kalikuje, wymęcza z siebie wzniosłe frazesy, beztrósko żyjna z Mistrzów Uznanych i Tytanicznych, podwędza im poszczególne zamysły i dramatyczne rozwiązania, kosmetycznie syntetyzuje i przedstawia jako swoje.

Grube fastrygi są aż nadto widoczne i nawet ci, którzy nie mają o twórczości pojęcia, oceniają poemat Balzaka jako marny. Jednoznaczna opinia o literackim produkcie jego pióra, nie załamuje go: zadufanym okiem wyobraźni dostrzega dla siebie szansę w powieści, ale, do „Jaszczura” droga daleka. Pomimo tego robi dalekosiężne plany. W dalszym ciągu jest wobec siebie bezkrytyczny: jeszcze nie wie, że aktualną kiepszczyznę zastępuje... gorszą.

Pragnie zmienić się, lecz nie wie, jak. Na razie, gdyż wszystko przed nim. Chce się wznieść ponad poziomy. Świat, który ma zamiar zawojować swoim pisaniem, jednym oferuje nadzieję, innym pokazuje język; jedni są okrzyknięci za urodzonych w czepku, a inni są ich majordomusami urodzonymi we frygijskiej czapce; Fortuna nie patrzy, kogo, za co i czym obdarza... Chyba, że ten ktoś nazywa się Honoriusz Balzak.

Cierpliwość i wyczekiwanie

„Ludwik Lambert”, to jego curriculum vitae. Przerażający to portret: jako Pomocnik Kowala d/s Ludzkiego Losu, bytuje w glorii swoich dzieł, natomiast w świecie burym, niedopasowanym do mrzonek, porusza się ostrożnie.

Nie jest twórcą lekceważonym, oryginalnym bez powodu, tolerowanym przez grzeszność, pisarzem, który żyje w bagnie złych interpretacji; godzi się, że jego utwory są pojmowane nie do końca, częściowo, tylko w miejscach wartko toczącej się fabułki, tam, gdzie czytelnik może rozpoznać się i utożsamnić z bohaterem. Lecz kiedy zaczyna stawiać hipotezy i przyjmować ryzykowne założenia, gdy puszcza się na hazard pouczających deliberacji, kiedy podejmuje się budowy własnych systematów, gdy wdaje się w definiowanie przyczyn obyczajowych degradacji i przewiduje kierunek społecznej marszruty – jego utwory nie trafiają do powszechnej świadomości odbiorców.

Jednak nie ma o to pretensji. Rozumie, że taka jest kolej rzeczy.

Nie ma żalu o to, że tyle czasu zajmuje im rozpoznanie najczystszy talentu. Na ten temat ma pocieszającą teorię: uważa, iż dzieła chybione, przelotnie dobre i z gruntu słabe, są skazane na zapomnienie. Toteż społeczeństwo traktuje je z przymrużeniem oka; pozwalając im figlować w zbiorowej świadomości.

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Ale tylko przez chwilę: do czasu powstania następnej lichoty. Natomiast od poważnych, odpornych na blichtr i trwałych przez lata, ludzie wymagają więcej, ponieważ jeśli mają one rozwijać literaturę, muszą być bez skaz; dlatego ich uznanie tak długo trwa.

Stracone złudzenia

Paryska wycieczka Lucjana Chardon de Rubempré, (bohaterapowieści „Wielki człowiek z prowincji w Paryżu”), jest podróżą Balzaka. W odróżnieniu od Lucjana, Honoriusz nie należał do psychicznych ułomków; Balzak jest Lucjanem, lecz nie ze względu na brzoskwińową urodę i minimalny talent, ale – z uwagi na nadzieje związane z życiem we francuskiej stolicy (Tak Honoriusz, jak i Lucjan, nieświadomi czekających zagrożeń, przybywali do niej razem z tysiącami innych myśląc, że są jedynymi, których spotka kariera, jedynymi wybranymi w tym ludzkim zlewisku dążeń, podczas gdy już wkrótce mieli przekonać się, że stworzyli sobie nieistniejący obraz świata, w którym nie ma miejsca na sławę i zaszczyty poparte umiejętnościami, a o człowieku nie świadczy zawartość mózgu, ale pozerstwo, emblemat, nazwisko. O tym, kim się jest i co się sobą przedstawia, decyduje zawartość sakiewki: można być pokazowym bałwanem, byleby się miało odpowiednie apanaże, koneksje i lada jakie szlachectwo.

Niestrudzony marzyciel, Honoriusz, koneksje miał bajecznie złe, a szlachectwo – doszczętnie wątpliwe, pozostawała mu więc tylko harówka; tworzy powieść podszytą biografią, powieść o roztrwonionych umiejętnościach i wyśrubowanych nadziejach; historię upiękzoną o miłosny wątek Lucjana przychepionego do smętnej Koralii).

Z łatwością mógł zaspokoić pretensje do seraficznego samopoczucia.

Starczyło robić dobre wrażenie, mieć okolicznościowy, zamyślony wzrok polakierowany przenikliwością, odprasowany przyodziewek, głowę w niebytach, zaświatach i mgłę, bywać w salonie, w którym, na stanowisku Poetyckiej Wyroczeni i Bezdyskusyjnej Muzy, zasiadała czcigodna pani Maria Luiza Anais de Bargeton z domu de Negrepelisse. Wystarczyło trzymać się jej łapki, starannie wdychać do jej podstarzałych wdzięków, mieć omdlałą minę podczas czytania własnych wierszy o sielskim życiu usłanym sonetami ze stokrotek i być w niej od stóp do głów nieszczęśliwie zakochanym.

W zacisznym grajdole Francji, w zapyzia-

łej mieścinie Angoulême, tak. Natomiast w Paryżu – nie. Dla Lucjana, Wieszcza Z Nizin, Wielkiego Nieudacznika Z Prowincji, Pierwszego Wybitnego Wśród Lichych, poety należącego do kategorii ludzi chciwych sławy, o miłym sercu, lecz wątlm charakterze, synka pigularza, Lucjana Chardon, rozpieszczonego przez matkę i siostrę, dla poety daremnie pchającego się na wykwinne pokoje z lokajami, wyprawa ta była zapowiedzią gruntownych zmian streszczających się w słowie „nareszcie”. Nareszcie zostanie zauważona jego wielkość, wreszcie znajdzie się na dobrze urodzonym miejscu i jego zdolności zostaną docenione zgodnie z ich niebotycznym rozmiarem. Lecz w mieście stołecznym, w skupisku poetów lepszych od niego, w metropolii wielokrotnie przewyższającej zaściankowe śmieszności, wśród dywizjonów elokwentnych pieczeniaryzy, wpisowe za zadawanie szyku stawało się zbyt wysokie dla ludzi pokroju Lucjana; ginęli zagryzieni przez tłum sobie podobnych, desperacko walczących o uznanie; tęsknota za powodzeniem umniejszała ich niedawne skrupuły, stawała się nawykem (w szczerej rozmowie z Lucjanem Chardon, Stefan Lusteau, dziennikarzyną z gatunku Sprzedajnych Z Rozsądku, wyznaje: „sumienie, mój drogi, to kij, który każdy bierze, aby nim grzmocić sąsiada, ale którym nigdy nie posługuje się dla siebie”).

Lucjan wiodł życie finansowo skromne i oszczędne, prowadzone zamiast na porcelanowych talerzach, na cynowej zastawie. Wymagało od niego poświęceń, kompromisów, ustępstw, powolnego, lecz nieuchronnego wycofywania się z marzeń o szybkim bogactwie i wielkiej sławie, rezygnacji z poprzednio wyznawanych ideałów, a takie życie – sprzyjało wątlm naturom: rzucony na głęboką wodę paryskiego bajora, nie był w stanie utrzymać się na jego powierzchni, a co dopiero płynąć pod prąd.

Paryż, sierociniec szczęśliwości, podziemna oranżeria złudzeń, okazał się łęgowiskiem sceptycznych poglądów. Zmienne nastroje społeczne, splecione z chłodnym rejestrowaniem ludzkich zachowań, Paryż uzależniony od smaku i obyczajów narzuconych przez egzystencję, wyznaczał ludziom dualistyczną rolę.

Na wstępie, zanim przybywający do Paryża geniusze – poezji nauczyli się redukować swoje przymusy i zachcianki, nim zadowolili się lada kanciapą i skromnym jedzeniem za Bóg zapłać, nieraz przyszło im zlorzeczyc na topniejące zapasy wiktuałów przywiezionych z prowincji i żalować nazbyt pochopnej decyzji o podboju stolicy.

Zasiedziali wyżeracze paryscy wykorzystywali naiwność owych natur, starając się wycisnąć z nich wszystkie pozostałe soki uczciwości i obrócić je na swój pożytek: wiedzieli, że głodny, obdarty, zaniedbany przybysz z dalekiego departamentu szybciej zawrze pakt z szatanem, aniżeli – syty.

W ten sposób rozmnażały się kadry szu-

brawców o gołęxim sercu: duchowi zdechłacy godzili się na paradowanie w kolczatce z luksusowych mrzonek, stawali się moralnymi brzuchomówcami, wtykali własne zapatrywania do kieszeni i tracili energię na rozsiewanie dwulicowych uśmiechów.

Lucjan, podobnie jak Balzak, jest człowiekiem o dyskusyjnym szlachectwie. Jak Balzak, ma nieprzyjemność zaznajomienia się z dziennikarskimi kurtyzanami: samotny i nieznany, gnieździ się w obskurnym i nieprzytulnym pokoiku, jada w niewystawnej knajpie u Flicoteaux'a. Odkrywa, że we wcale nie tak uduchowionym świecie, w salonach, buduarach i garsonierach, których nie potrafił sforsować swoim talentem, w anturazach odwróconych intencji i fałszywych luster, w wysyonim Paryżu, tym ogrodzie zoologicznym dla cwaniaków, miejscu pojedynków na szyderstwa, imputacje i kpiny, rządzą te same, snobistyczne prawa co tam, skąd uciekł. Konstatuje więc, że nie ma różnicy między umysłową nędzą zaścianka, a nędzą wielkomiejskich umysłów, gdyż miejsca te dzieli tylko skala, proporcja.

Zapowiedź zwycięstwa

Rok 1831 był zaznaczony Jaszczurem, filozoficznym zamyśleniem nad rolą czasu w życiu człowieka i ulotnością jego pragnień. Początkowo arcydzieło swoje traktuje z lekceważeniem; za blisko siedzi w opowiadaniu, by mieć do niego dystans. Jaszczur znajduje kontynuatora: temat przemijania pragnień rozwinie i zmodyfikuje Marcel Proust.

Życie, dotąd szare i zamulone gwarem ulic, turkoczące powozami, kiedyś dla niego niedostępne, odmieniło się. Ludzie zaczynają wypowiadać się na temat jego pisania i naraz jest o nim głośno.

Oczywiście, że głądzi się jeszcze o jego laskach i przywarach, ale coraz mniej. Co prawda pomniejsze pieski gryzą go nadal, ale czynią tak tylko z przyzwyczajenia do zawiści, a ich dyszkanty i prześmiewcze ataki już nie wyrządzają mu krzywdy.

Sukces wywalczony Jaszczurem, choć bezsporny i choć rozpoczyna triumfalny bieg ku sławie, pęd trwający do teraz i sięgający poza granice dającego się przewidzieć jutra, nie przyniósł Honoriuszowi finansowego ukojenia; jak zwykle, nie ma grosza na zdrowy rozsądek. Jak zawsze, dba o wydumane interesy; nie inwestuje w teraźniejszość, lecz w przyszłość.

cdn.

Marek Jastrząb



MNIJ WIĘCEJ (129)



Foto: Zofia Mikula

Górska nuta...

Bronek z Obidzy to pseudonim Bronisława Kozińskiego, rocznik 1963. Z „wykształcenia” – stolarza, na co dzień – budowlanica. Syn Sądcecczyni zakochany w swojej ziemi. Autor trzech wcześniejszych tomików. Ten jest jego czwartym... Na plecach okładki rymowana deklaracja Autora: „Może i jest w tym trochę racji, że gdzie bym nie był, o czym gadał, zawsze do gór słowem powracam, górską nutę opowiadam”.

LESZEK ŻULIŃSKI

Czytam, czytam i czytać chce mi się coraz bardziej. Bo to nie są wiersze kontynuujące tradycyjną folklorystykę „z przytupem” i „kogucikiem na druciku”. Owszem, chyba można tę poezję klasyfikować jako kontynuację dawnego autentyzmu, tyle że w niej jest dzisiejsza autentyczność.

Bronek lubi rymować, ale rymować przecież wciąż wolno. Przypomnijcie sobie jak na przykład rymowali Harasymowicz czy Nowak. Tu też widzimy, że wiersz rymowany, sylabotoniczny liftinguje się z każdym pokoleniem. Oto jedna zwrotka z Bronka, dla przykładu: *Zawyły wilki nad Roztoką, z przerebli ciemnych chmur prześwity / znalazły trop do wilczych oczu, zakwitły w nich jak zimowity. / Ryterskie lasy, wilcze doły, atramentowy szlak do nieba. / Jelonek prosząc o anioły w kałamazarzowy błękit śpiewa.* Przyznajcie, że coś w tym obrazie brzmi na nowo w uchu. Skojarzenia nie są szablonowe, landszaft nie jest bohomazem.

Czy o Matce Naturze można jeszcze powiedzieć coś nowego? Zawsze można, bo ona układa się w nas – w każdym z osobna – po swojemu. Jednak z Bronkiem musi mieć jakieś konszachty, bo na przykład mnie – mieszcza – by zignorowała. Ale my – z miasta, masy, maszyny – tajemnic i urody Natury już nie potrafimy tak postrzegać.

Zachwycamy się pejzażem, ale czy umiemy jeszcze wynieść z niego coś więcej niż doznanie estetyczne? Toteż *memento* tych wierszy powinno nas czegoś nauczyć.

Nie myślcie sobie jednak, że Bronek jest tylko malarzem. Bo on płótno wiersza wypełnia także treścią egzystencjalną. W całości przytaczam sonet pt. *Jesteś juhasie: Po drugiej stronie wiatru, latawcem, co ustał / kropelką rosy w trawie na krawędzi cienia, poślednią barwą wiosny, szarością jesieni / od stóp do głów i w sobie, dałą, głębią, pustką. // Margines przytulają role, które grywasz. / Blaszyne fujareczki, cepeliowskie rysy / przybliżasz się do krzyku, oddalas od ciszy / groteską nowomodną sztucznego tworzywa. // Jak noc wyzwala światło, a po nim znów ciemność, / nie zmienisz horyzontów, pamiętaj juhasie. Nie bądź kropelką rosy i z kwiatka na kwiatek, // bo na krawędzi cienia one same więdną. / Po tamtej stronie wiatru, gdy ciągle masz mało, / ktoś przypiął sznur latawcom, odebrał im wolność.*

Jak widać, tu Natura jest tylko tłem i scenografią. I nie myślcie sobie, że „naturzyczkowstwo” Bronka śpiewane jest wyłącznie na jedną nutę. Oto osobliwy i zaskakujący wiersz pt. *na drodze do kafarnaum tylko piach: co by się stało dobry panie / gdybyś spragnionym weselnikiem / napelił kiedyś stągwie w kanie / nie winem ale śliwovicą // miałbyś okazję do największych / cudów co przejdą do historii / nazajutrz drugi raz stu wskrzesić / jednym dotknięciem boskiej dłoni // wskrzesić to jeszcze mało znaczy / lecz po tym wszystkim wziąć drużynę / odciąć od źródła i na kacu / powlec ze sobą na pustynię.* Ten motyw z Nowego Testamentu jest sygnałem, że horyzonty pejzażysty i egzystencjalisty mają swoje szersze zaplecze; przeskoki od natury do mitologii tu się zdarzają. Nie dajcie się więc uwieść samemu pejzażowi – on wypełniony jest kanwą ciekawych przesłań. Gdyby to wszystko „zintelektualizować”, to Bronek jest juhasem w dzinsach, który w dzień hula po łąkach, a wieczorami zanurza się w esencję tajemnic, przeznaczeń i morałów. Jego „ludowość” nie jest ludycznością – jest po prostu takim a nie innym kluczem do tajemnic epistemologicznych i aksjologicznych. Jest wizją jakiejś życiowej matrycy; tej, o której coraz częściej zapominamy.

Dziwnie i jakoś obco brzmią te terminy w zderzeniu z tą poezją, ale nie mogło być i na szczęście nie jest inaczej. Autentyzm nie przepada za intelektualizmem. Toteż Bronek znalazł sposób, aby sobie z tym poradzić. I zrobił to znakomicie. Jak przystało na „naturzyczka” – naturalnie!

Znana jest taka anegdota o Himilsbachu. Pytanie: co robi Himilsbach, kiedy wieczorem wraca zmęczony do domu? Odpowiedź: bierze kąpiel, zakłada bonzurkę, nalewa sobie kieliszek markowego koniaku, sięga po hawańskie cygaro i puszcza symfonię Beethovena. Po czym zagłębia się w lekturze Husserla

albo Sartre’a. I dopiero wtedy jest sobą. No, o takie „zbożenia” Bronka nie podejrzewam, ale coś jest „na rzeczy”. Uważajcie na naturzyczków – oni mogą być bardziej skomplikowani niż przypuszczacie.

Czasami w tych wierszach pojawia się miasto – ale jakieś takie obce. Jakby z innego świata. Skansen Bronka trzyma go w swoich cuglach. Iberoamerykańska legenda Macondo ma tu kawałek własnego odbicia. Słowiańskiego, rzecz jasna. Zdawałoby się, że obecna rzeczywistość już to wszystko zhomogenizowała, że socjokulturowa rewolucja wyrównała te dwa odrębne światy. A cóż by Bronkowi szkodziło przenieść się do miasta i zamiast na wsi stawiać domy, zostać spawaczem w fabryce? Dojeżdżał by sobie tramwajem do pracy, a po robocie włączył po galeriach handlowych, w których przecież wszędzie takie piękne. Otóż tu jest ta gruba krecha, której wciąż wiele osób by nie przekroczyło. Zastanawiam się, na ile mamy do czynienia z sytuacją reliktową, a na ile z coraz większym wyjątkiem. Chyba jednak z tym drugim. I chyłczoła przed Bronkiem, że stał się strażnikiem własnego etosu.

Panie Bronku, niech Pan pozostanie sobą! Jak Pan pójdzie w te różne elioty i heideggery – przestanę Pana czytać.

Bronek z Obidzy, „Wiklinowe ptaki. 100 wierszy”. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2015, s. 112.

Bronek z Obidzy

Na litość

Ostatnio ciągle stoi przy kiosku niczym wrośnięty w ziemię kamień. Odgórnie zdana na litość boską, ziemska na wdowi grosz skazany.

Wieczorem mówi, że popołudnia zsyłają większy cień nadziei, reszta to stół, wyschnięte studnie, próżna wędrówka przez pustynie.

Nie jest z nią źle, jeszcze śpiewa, dźwigając po dniu sztandar nocy. Przez litość boską, łaskę nieba, jakoś się żyje, jakoś toczy.

fakty i mity

ululali zośkę, ululali potem wzięli zrobili co swoje jeszcze ciepłą przykryli gazetami biust trybuną to niżej przekrojem

ktoś z przechodniów dorzucił cogito inny wprost i świat seriali w końcu jeden przyłożył zapalnik i podpałił ten kioszek z gazetami

Józef Pless

Adam

Mój przyjaciel jest Żydem mieszka
W Jersey i ma adres internetowy
Yahoo@.com spotyka się też go w Łodzi
Na ulicy Piotrkowskiej i w redakcji
„Tygla Kultury”

Jego wiersze o dzieciństwie w Oświęcimiu to
Dla mnie kraty więzienne poznane z tamtej
strony

Choć kilkadziesiąt lat temu dostał nakaz
Wyjazdu do Izraela a 11 września 2001 roku
Po trzydziestu trzech latach zrozumiał
Że jest też dorosłym Amerykaninem
Polska zawsze była dla niego ojczyzną

Jakim jest mężem i ojcem tego nie wiem
Bo jak dotąd nie przeniósł mnie żaden
Ponaddźwiękowy samolot do jego
Amerykańskiego wspaniałego domu

Wiem natomiast że jego czysta poezja
Odpowiada na to i inne pytanie stawiane
Przez tych którym zwierzęcy instynkt
Nakazuje pożerać tego typu problemy

Dwa lata temu wszedł do Kościoła
katolickiego
On Polski Żyd za rękę ze mną Polskim
Niemcem
Na kolanach pokłonił się Panu Bogu i
Chrystusowi
A wieczorem w hotelu czytaliśmy *Torę*

Gdy chór skończył śpiewać pieśni niemieckie
Bo rzecz się dzieła na Opolszczyźnie
wzruszony
Przeczytał swój wiersz z tomu *Życie pod prąd*
I już wiedziałem że będę czekał na jego
Wspaniałą obecność w mojej Europie

Czerwiec 2002

Kazimierz Burnat

Obcowizna

Kolejne bruzdy
tną ojcowiznę
coraz trudniej o przystań
wśród słabnących więzi

następna niepubliczna droga
sześciometrowy pas
do rozjeżdżania

stodoła głodna
stajnia cicha
jeszcze tylko żrebak

wierzga między kikutami
czereśni

spróchniały pniak
owocuje hubą

maksymalne minimum

Odrętwienie

Tkwi bezwolny
w wygodnym układzie
ale u progu starości
przyzwyczajenia ograniczają

czuje się jak koń
który po mozolnej pracy
dowleka się do żłobu
lecz obrok nie smakuje
spacery
choć zmiennymi szlakami
nużą

spontaniczność zamarła

jak posiwiałe drzewa
przed starym domem
pochylił się od nadmiaru przeżyć

po co ta pokora –

wiek przysparza dostojęstwa
trzeba z uniesioną głową
wyczekiwać zmięczenia
pogodzić się z fatum
i samym sobą

* * *

Ukrywała się
za zdjęciem z młodości

na łączach neuronów
iskrzy

kim jest

czas zalotów
nie dla mnie

wystarczy taniec dłoni

Wznieść sens

Nie wystarczy odwrócić myśli
w inną stronę
omotać prześcieradłem sny
uśmierzone ciepłem
jej ciała
zwilżonego w starciu
z bodaj naszkicowaną podnietą
trzeba zeskalic niedorzeczność

aby nieco później
światlistymi mackami przedramion
wznieść sens
w objęciach Morfeusza

* * *

Niebo zwiesiło skrzydła

jak wypłowiwała wrona
rzuca czarny cień
na jego serce

czarno-białe punkty jaskółek
zwietrzają niepogodę
dla miłości

ale noc uwięzi cienie
i kręte ścieżki jej włosów
powiodą do źródła
początku życia

opróżni z tęsknot
nasiąkną światłem uniesienia

Smak przebudzenia

Chwytasz bezskórnej krawędzi
grzbietu światła znikającej gwiazdy
stając się półksiężycem

szlakiem płowiejącej czerni
wnikasz w skraj postrzegania
człowieczej wyobraźni

kruszyny żaru
znakiem trwania
nagłaśnianiem szeptu
suchym podniebieniem
wchłaniasz rosę –
błękitu

Owoce pokory

Nie miałem konia
zamiast roweru
rachewkę z patykiem
dziurawy balon
i bukową pliszkę

podczas zabawy
kule z ładu
miotane witką
przekraczały granice
pól
tworząc w wyobraźni leje
wypełniane oceaniczną wodą

kamienie wystrzelowane z procy
dociągały dno
od którego teraz radośnie
odbijają się wspomnienia

Marek J. Stępień

* * *

Moja cicha miłości –
twoje wody są pieśnią
Płyną przez serc wyżyny
i obszary zwątpienia

Niczego ci nie brakuje
przebywasz w chłodnych strumykach
pomiędzy ziół wysepkami
i na słonecznych polanach

Co lęklive zanika
pod dotknięciem twojej fali
Człowiek nabiera pewności
że nie może przeminać

Promyki światła na listkach
drzew stojących w zamyśleniu
wibrują radością a cienie
kurczą się i umykają

Tak trwać dopóki trwa muzyka
i wiosna z wybuchami zieleni
Patrzę przez szczeliny umysłu
a serce drży i wciąż śpiewa

* * *

Jabłoń bielą obsypana
wolno płynie w moich oczach
ku akwenum wód błękitnych

Tonę w nich gdy czas przemierzam
gdy spoglądam w lustro czasu
jak przechodzień w obcym mieście

Jestem tylko węzłem fali
nitką przędzy na dywanie
unoszonym wiatrem magii

Nadmiar wrażeń wiąże dłonie
i zamyka w śnie jabłoni
wraz z zegarem obowiązków

Wokół domu szumi ogród
śpiewne listki znaczą pochód
lilii mleczy i stokrotek

Ku otwartej toczą bramie
fugi dźwięków serca pamiętać
coś podąża jego śladem

Moje poranne zapatrzenie
w barwy wiosny na progu jesieni
i błaganie aby zatrzymać ten dzień

* * *

Ogrodzenia wokół domów
ciemna zieleń na pagórkach

wspominania długie noce

Wciągający wir historii
krajobrazy pól bitewnych
podręczniki w rdzawych barwach

Garby mogił rosną w oczach
ani śladu przebaczenia
zatwardziałe ludzkie serca

Coraz więcej bezdomności
podmywane przeszła mostów
wina winy nie pamięta

Stary zegar młodym tyka
wśród światełek mrugających
mózg wzmocniony czujnikami

Jeszcze marzy czy koduje
terkot broni siatkę ulic
gry wojenne generałów?

* * *

Na rozstajach na bezdrożach
tęsknią nasze wielkie słowa
rozglądając się za ludźmi

Ścieżki marzeń wiodą w pustkę
rozżaleni tkają chustę –
czarny welon ich przekonań

Nie przepuszcza z gwiazd promieni
wszyscy niktą w smudze cienia –
w tym półmroku co oddziela

Zmutowane ciała części
na zatrutej ziemi piędzi
współpracują coraz gorzej

Oczy śledzą wydarzenia
zanurzają się w strumieniach
rozproszonej informacji

Gdy nakręci się spirala
człowiek z światła będzie małał –
nie rozpozna swojej drogi

Na rozstajach na bezdrożach
tęsknią nasze wielkie słowa
szukające blasku Domu

Joanna Słodyczka

Równowaga

Nie było radości.
Przeszłam korytarzem światła
w dwie strony.
Przeszłam.
Po śnie lunatyka
znalazłam w kieszeni świadomości
zmiętą nadzieję.

Skończyłam z tańcem w płomieniach.

Dobrze iść

Dobrze stąpać po stałym gruncie.
Dobrze nie oglądać
zostawionych za sobą zamkniętych drzwi.
Nie wracać.
Nie całować
dawno zabliznionych ran.
Dobrze iść.
I na wszelki wypadek
nie pytać dokąd.

Zatrzymuję się z jesienią

Strząsnęła jesień słoneczne kolory,
liście pomięte rzuciła pod drzewa.
W głodne muzyki dłonie kasztanowców
rozleniwiony wiatr szelest nalewa.

Czas zwalnia biegu. Zegar kropel rosy
raptem zatrzymał się w pustce ogrodu.
Tknięta przypadkiem nagą stopą chłodu
woda się jeży igiełkami lodu.

Wiruję

tańczę życie
wykreślam sensualne linie
na lodowej tafli rzeczywistości

pod kruchą powierzchnią
w mrocznych głębiach podświadomości
skłębione wody szaleństwa

jeśli roztopisz lód pod bosymi stopami
oboje pójdziemy na dno.

W półmroku

nocą
tańczy poezja
na szczytach świec
cienie rymów
spacerują po dywanie
pod nogami
tarzają się puszyste kłębki ciszy

w pokoju
króluje ciepły spokój

Otoczaki

strumień czasu obmywa nas
zamazuje rysy zderzeń z innymi
pomniejszamy się i wygładzamy
z każdą piesszczotą nieubłagalnej fali
zbyt długo maltretowani
trafiamy w ręce Boga
jako samo jądro skamieniałej gliny

Kazimierz Świegocki

Limanowa poezją pachnąca

Biada poezji w czasie marnym. A czas mamy naprawdę marny. Pod jego niszczącym niewidzialnym tchnieniem znikają z pola widzenia wszelkie wyższe idee i wartości. Wśród znikających przoduje poezja zarówno jako sztuka słowa jak i ten specyficzny stan umysłu, który pozwala postrzegać w otaczającym nas świecie to, co wymyka się wszelkim miarom liczbowym i wszelkim ściśle zmysłowym obrazom. Ale czy znika na zawsze? Czy możliwy jest ludzki świat bez poezji? To prawda, że do rzadkości należą czytelnicy poezji, zwłaszcza wśród dorosłych. Ich czas pochłaniają czynności praktyczne poddyktowane troską o materialne trwanie na tym świecie. Mówi znane przysłowie: najpierw żyć, potem filozofować. Niestety samo życie jest tak zachłanne, że z reguły nie pozostawia już miejsca i czasu na „filozofowanie”.

A jednak natura ludzka domaga się „filozofowania” i poezji. I pozbyć się ich nie może. A dowodem na to jest wzrastająca z roku na rok liczba ludzi piszących wiersze. To nie setki, to są już tysiące. I tak tworzy się ruch kulturalny obejmujący poszczególne regiony, a w końcu cały kraj. Tak, Polska jest krajem poetów. To właśnie ta armia ludzi piszących, przypominając, że nie samym chlebem żyje człowiek, jest jedną z sił ocalających pamięć tradycyjnej kultury ducha, którą tak ciężko przygniata nowoczesna kultura materialnych wartości, a której sternikami są niekiedy „szkielety ludu” – by użyć tu drastycznego określenia z *Ody do młodości*.

Takie mnie naszły refleksje, gdy wracałem z Poetyckich Ogrodów w Limanowej w połowie maja br. Byłem ich uczestnikiem po raz drugi. Ostatnia impreza odbyła się tu już jako dwunasta z kolei. A więc jej historia sięga roku 2003. Żałuję, że nie było mi dane być tutaj wcześniej i częściej. Bo to naprawdę wartościowa impreza. Spotykają się w niej, można powiedzieć, dwa żywioły poetyckie. Jeden to oczywisty – poeci i ich utwory. Drugim natomiast jest samo miejsce spotkań – urocze małe miasto otoczone ze wszystkich stron wzgórzami i lesistymi górami, które stwarzają niepowtarzalny klimat – właśnie poetycki. Dobrze więc się stało, że to tutaj właśnie mogą się corocznie spotykać ze sobą ludzie uprawiający wierszopisarstwo, a przyjeżdżający tu z różnych stron Polski, choć oczywiście najwięcej ich z południa. Prym wiedzie Kraków i małopolski region, ale zaglądają tu także poeci z Warszawy, czy Łodzi.

Nie bez pewnego wzruszenia spotkałem tu swojego młodszego kolegę po piórze, który

mieszka w głęboko prowincjonalnym miasteczku, gdzie rozwija działalność literacką i kulturalną na poziomie godnym niemal najwyższego uznania. To miasteczko to Żelów, oddalony o 50 kilometrów od Łodzi, a o 10 kilometrów od mojej rodzinnej wsi Czestków. Zaś ów kolega to ceniony poeta Andrzej Dębowski. Wywodząc się z tej samej prawie gminy mogliśmy się poznać bliżej dopiero na poetyckiej imprezie w Limanowej (!). Poznałem tu także niezwyklego franciszkanina ojca Eligiusza Dymowskiego, od którego niedawno otrzymałem tom jego poezji wybranych – wierszy nacechowanych prostotą i głęboką chrześcijańską mądrością. W spotkaniach limanowskich bierze też corocznie udział poeta i filozof z Krakowa – profesor Ignacy S. Fiut uprawiający, poza *stricte* filozoficzną, naukową działalnością także krytykę literacką. Jego poetycką aktywność można potraktować jako dowód na ważność poezji w duchowym życiu człowieka. Wydawać by się przecież mogło, że filozofia nie potrzebuje już żadnych suplementów do tego, aby wnieść człowieka na wyżyny ducha. A jednak filozofowie sięgają, i to często z pokorą, po poezję. On jest jednym z nich.

Poznałem tu wiele jeszcze innych ciekawych osób i wartościowych piór. Chciałbym jednak zatrzymać swoją uwagę na osobie Marka Jerzego Stępnia. Bo to on jest pomysłodawcą tej całej imprezy i on też ją organizuje co roku, przekonując skutecznie kulturalne władze miasta, że impreza ta zasługuje na istnienie i kontynuację. Korzystając z jego prywatnej gościnności, mogłem poznać bliżej krąg problemów i idei, które zaprzatają jego umysł i są w znacznym stopniu materiałem jego poezji i eseistyki. Uprawia bowiem oba te gatunki pisarskie i w obu ma godny uwagi dorobek. Jako poeta zaskoczył i zadziwił mnie dużym cyklem sonetów, które odważnie zatytułował „Sonety dla Boga”. Właśnie szlifuje ich formę, przygotowując je do publikacji. Sonety dzisiaj rzadko kto potrafi pisać, więc sam już wybór tej formy wzbudzać musi uznanie dla autora. Ale najbardziej tutaj frapujący jest tytuł cyklu i znaczone nim problematyka. Poeta zwierzył mi się, że wiersze te napisał pod wpływem przeżyć, jakich doznał w miejscu nacechowanym szczególną aurą religijną – Medziugorje. Marek J. Stępień jest człowiekiem religijnym. Ale nietrudno, obcując z nim intelektualnie, dostrzec, że jego religijność nie jest konwencjonalna. Charakteryzuje ją skłonność do mistycyzmu i pasja dążenia tajemnicy człowieka w relacji do Boga. W swoich esejach zebranych do tej

pory w czterech niewielkich tomach ujawnia własne dążenia poznawcze nakierowane na rzeczywistość przekraczającą zwykłe doświadczenie, a więc rzeczywistość transcendentną. Interesujące jednak, że stara się swoje dociekania prowadzić dyskursem niemal naukowym! Wykorzystuje swoją wiedzę z zakresu fizyki, w szczególności inspirowane teorią mechaniki kwantowej dla pokazania, że rzeczywistość materialna wykazuje zależność od sił, które zdają się ją przekraczać. Ambitne to i niezwykle trudne zadanie, ale poeta ten zdaje się głęboko wierzyć, że nie jest ono beznadziejne. Jedno wszakże jest tu niewątpliwe, to mianowicie, że Marek J. Stępień jest osobowością nietuzinkową, rzadko spotykaną w dzisiejszych spragmatyzowanych czasach, za to doskonale harmonizującą z otaczającym miastem Limanowa pejzażem. Ten bowiem swoim łagodnym pięknem wręcz zaprasza wrażliwe natury do medytacji i kontemplacji w tym samym stopniu co do brawurowych wyczynów. Zanim coś jeszcze powiem o ludziach naznaczonych tymi przypadłościami, wspomnieć chciałbym o panu Jacentym Musiale, skromnym na pozór człowieku nie uprawiającym literatury, nie piszącym książek, ale – jak twierdzi Marek Stępień – bez niego trudno byłoby zorganizować Poetyckie Ogrody w Limanowej. Pomagał w tym dziele jak tylko mógł. Wcześniej jako radny powiatu i dyrektor Gminnej Biblioteki w Starej Wsi położonej 3 kilometry od Limanowej. Wdzielił się jego posesję na skraju Limanowej, w której nas przyjmował z wielką gościnnością. Patrząc na dom i jego najbliższe otoczenie tonące w zieleni i kwiatach trudno nie przyznać gospodarzowi honorowego tytułu poety. To nie nowobogackie popisy stanu posiadania, lecz z wyjątkowym smakiem i wyczuciem piękna urządzona posesja. A środki na nią gospodarz zdobył ciężką pracą, jak to prawdziwy góral, w Hameryce. Inna rzecz, że podobnych posesji można by chyba znaleźć w tym górskim i podgórskim regionie więcej. Tu ludzie czują piękno i żyją nie tylko samym chlebem.

Jeśli ma się dużo wolnego czasu, a przy tym i zdrowia, można prowadzić w Limanowej życie kontemplatywne, chodzić, czy raczej nawet pielgrzymować po górach okalających miasto, w drodze na ich szczyty chłonąć piękno i tajemnicę rodzimego Beskidu Wyspowego. Właśnie nieopodal Limanowej w miejscowości Rozdziel (gm. Żegocin) znalazł odpowiednie dla siebie miejsce Ośrodek Fundacji do Służbie Życia. Jego wiceprezesem jest kolejny niebanalny człowiek rodem

z Limanowej – Marek Dudek, rocznik 1965, inżynier geodeta, przedsiębiorca, alpinista i podróżnik. Koordynował wyprawy wysokogórskie w Alpy, góry Kaukazu, Norwegii i Afryki. W Alpach zdobył około 40 szczytów powyżej 4000 m n.p.m.. W 2002 poprowadził grupę limanowian na Kaukaz (Elbrus 5652 m n.p.m.). Można by wymieniać jeszcze długo pasje i wyczyny hobbyistyczne pana Marka, jak choćby fotografię i lotnictwo (jest pilotem lotniowym i motolotniowym), mnie jednak urzekł czymś jeszcze innym, a mianowicie... poezją. I dlatego o nim tu mówię. Otóż kiedy całą grupą poetów pod wodzą Marka Stępnia odwiedziliśmy wspomniany Ośrodek Fundacji w Służbie Życia (o którym za chwilę), jako jedną z atrakcji zaproponowano nam obejrzenie kilku miniatur filmowych pana Marka Dudka. Dotyczyły one dzikiej górskiej przyrody zarówno rodzimej limanowskiej jak i przede wszystkim z dalekich podróży i wspinaczek alpejskich. Oczywiście przyroda dzika, zwłaszcza górską, jest zawsze urzekająco piękna, jakby jej nie pokazywać. Ale kamera pana Marka wydobyla z niej coś więcej, niżby można się spodziewać. Filmy te, z świadomością autorską, bądź bez niej, przedstawiały ni mniej ni więcej tylko jakby poemat, którego strofami były przesuwane kadry. Oglądający je poeci, jeśli odnieśli takie samo wrażenie jak ja, mogli popaść nie tylko w radosny zachwyt nad pięknem sunących przed oczami obrazów, ale i w mniej radosny stan zazdrości. Bo czy słowo poetyckie, nawet zrodzone pod piórem dobrego poety, jest w stanie stworzyć aurę tak gęstą od czystej poezji, aurę poetyczności?

Ten fakt i jemu podobne uświadamiają nam, że poezja mieszka wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z nieuchwytnym i niewyraźnym pięknem; że świat cały przeniknięty jest jej substancją; że ta substancja ujawnia się naszym zmysłom wówczas, gdy oddajemy się bezinteresownej kontemplacji naturalnych przedmiotów, z których utkany jest widzialny świat przyrody. Warto, aby dobrze tę prawdę zrozumieli tzw. „nowocześni” poeci lubujący się w ukazywaniu brzydoty świata i szarzyzny otaczającej nas rzeczywistości. I żeby spróbowali mówić o niej słowem pięknym, w którym przenikałyby się muzyka i obrazy, i skalające je w harmonijną całość myśli. Poezja, która zapomina tej elementarnej dla niej prawdy, nie ma żadnych szans na rywalizację z takimi dziedzinami sztuki, w których poetyczność objawia się naocznie, tak jak w filmach, obrazach malarskich i dziełach muzyki. Lub po prostu w obrazach żywej bezpośrednio danej przyrody, której niestety jest na świecie coraz mniej.

Dlatego z tym większym wzruszeniem przyglądałem się ludziom z Ośrodka Fundacji w Służbie Życia mieszczącym się w pewnym oddaleniu od zbiorowych ludzkich siedzib. Odniosłem wrażenie, że oni lepiej rozumieją istotę życia ludzkiego niż ci, dla których świat jest tylko okazją do robienia tzw. kariery i

zmysłowego używania jego dóbr, do życia w zgiełku i szumie, bez dłuższych chwil wyciszenia i kontemplacji tego, co można usłyszeć tylko w ciszy drzew, powiewie wiatru lub w huku burzy, która przynosi głosy jakby z innego świata i każe zastanowić się nad swoim losem głębiej. Ludzie z Ośrodka wydawali się wyciszeni wewnątrz i to ich wyciszenie dawało do myślenia i może nawet jakoś udzielało się niektórym z nas poetów. Pomyślałem nawet, że to oni kochający ciszę i zarazem bardzo pracowici, uprawiający swój ogród i prowadzący terapię naturalną medycyną, choć nie piszą wierszy, są prawdziwszymi poetami, niż niektórzy z nas, a może nawet niż my wszyscy. A to w myśl zasady, że poezja to nie tylko wiersze, lecz i pewien stan umysłu, czy ducha, który nie musi mieć ściślejszego związku z literaturą. Uprawa ziemi i przyglądanie się wszelkiej dziejącej się na niej roślinności, nasłuchiwanie wszelkich odgłosów życia, błogosławieństwo ziemi i nieba to też poezja. I być może poezja to największa. W takiej poezji każdy człowiek może mieć swój udział, choćby nigdy nie napisał nawet jednego wiersza.

Kazimierz Świegocki



Kto wymyślił demokrację?

Demokracja – słowo, które ciągle wydaje nam się określać stan społeczny bliski ideału. Była zjawiskiem zupełnie inaczej rozumianym przez starożytnych Greków, niż pojmujemy to dzisiaj.

Teoretycznie *demos* – znaczy *lud*, ale grekom nie kojarzył się z pospolstwem, w tym sensie, jak rozumiemy to współcześnie, kiedy po stanowiska i zaszczyty sięgają nuworysze, ci, którzy jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie mieli nic do powiedzenia, którzy się po prostu nie liczyli.

Jest więc dziś demokracja raczej legendą i populistycznym bajaniem. I nie kto inny, jak właśnie Grecy współcześni objawiają nam dzisiaj czym naprawdę stała się ona we współczesnym świecie. Właściwie stała się równoznaczna z anarchią, z bandytyzmem, terroryzmem, pozwalaniem sobie na wszystko w imię partykularnych interesów.

Dziś, kiedy patrzę jak sami Grecy – niczym bandyci i straceńcy demolują zdobycze wieków własnej historii i obraca w perzynę dorobek dziejowy niemal całej cywilizacji Europejczyków, robi mi się straszno.

Jeszcze smutniej przyglądam się całym tłumom polskich demokratów, którzy z piętnem *Solidarności* na sztandarach smrodzą i zatrują miasto, pałac pod Sejmem opony. Kto wmówił im utopijne zasady sprawiedliwości społecznej i dziejowej? Kto mydli oczy zasadami moralnymi, umiłowaniem bliźniego, poszanowaniem praw zwykłych ludzi do życia w jako takim spokoju?

Nikt nie dostrzegł, że nie posunęliśmy się ani o krok w człowieczeństwo. Tak nielubiana przez wielu darwinowska teoria ewolucji próbowała genialnie wyjaśnić nam, że my ludzie – jesteśmy tylko, być może, doskonalszą formą zwierzęcia, kierującą się wyłącznie instynktem przetrwania.

Uwierzyliśmy naiwnie mitom Kościoła, że człowiek, to istota wyżej postawiona, lepsza, mądrzejsza, sprawiedliwsza i jedynie Bóg jest doskonalszy od tego nadzwyczajnego tworu.

Od zarania dziejów żyjemy w klanach, bandach, bojówkach, które roznoszą się nawzajem w pył wraz ze wszystkim, co stworzyliśmy, jak prymitywne hordy psów. Bronimy jak one swojego lasu, łąki, szałasów i nie znosimy obcych, na wszelki wypadek, żeby nam nie zagrozili ani teraz, ani potem, ani nigdy swoją zachłannością i chęcią dominacji. Musimy się zabezpieczyć, uzbroić i zawczasu wyróżnić w pień całą okolicę. Dopiero wtedy czujemy się u siebie bezpieczni.

Tylko, kiedy zabraknie już wroga zewnętrznego, poszukamy bliższego wśród swoich, a gdy odbierzemy mu już wszystko: majestat władzy i cały stan posiadania, to rozgrabimy między siebie łupy – teoretycznie po równo, a *równo*, to znaczy *nic*, bo kto podzieli równo i jak to policzyć? bo równo, to znaczy *po uważaniu* – jednemu więcej, drugiemu mniej – jak zawsze. Kto da wiarę, że im się należy? No, bo dlaczego na przykład nie mnie?

Kiedy zaś *nic* nie zostanie, a nie da się rozdać *sprawiedliwie* wszystkim, oni na pewno się upomną, a gdy napotkają odmowę będą skamleć i prosić, by im odstąpić chociaż ochłap.

– Kto ich wtedy wysłucha, kto im pomoże?

– Może my? – przecież żal oddawać, co ukradliśmy.

– Może sąsiedzi? – przecież sąsiadów wyróżniliśmy! – A reszta uciekła ze strachu.

Zdradziliśmy ich zaufanie, a teraz prosimy o litość i wsparcie?

Na przyjaźń i gesty dobroci trzeba zapracować, trzeba umieć się dzielić, i trzeba mieć w tym po prostu interes. Czy ktoś to potrafi?

Hojność w żadnym stadzie nie popłaca. W poczuciu dobrze spełnionej misji może zabraknąć ci instynktu i czujności. Jeśli wyciągniesz rękę ku słabszemu, on z wdzięczności, wybierze cię nawet na prezidenta (zależy ile mu obiecasz), ale za parę lat dorwie ci się do gardła i spróbuje tę pomocną rękę nie-

(Dokończenie na stronie 10)

Kto wymyślił demokrację?

(dokończenie ze strony 9)

chybnie odgryźć. Ogłosił cię przy tym zdracając powszechnej idei, że nie dzieliłeś równo, że pewnie się nachapałeś, że masz coś do ukrycia.

Nie daj się zwieść – nie rządzą nami idee, a ledwie instynkty głodnego stada i nie ma w nas nic lepszego od całej pozostałej ziemskiej fauny.

A idee? – to czyste urojenia wyjątkowo słabo przystosowanych do walki obiboków i słabeuszy, którzy boją się walki i fizycznej siły. Z intelektu, którego brak innym próbują tworzyć ukrytą broń przeciwko prymitywnej sile i głupocie. By w ten sposób działać przeciw ciemnym instynktom, trzeba się najeść szaleju.

Stado działa jak ćma, która daje się zwozdzić tylko pochodni lotrów, co przywracają posłuch i pozorny porządek siłą.

Im dłużej żyję i patrzę, tym smutniej mnie – człowiekowi odkrywać tę potworną prawdę, że żyję w stadzie hien i potworów, bo wszak przez całe życie wbijano mi do głowy same nieprawdy.

Grażyna Adamczyk-Lidtko



Człowiek, którego nie było (fragment)

Okno. Otwarte okno. Otwarte okno wpuszczone w dach. Okno tak typowe dla wszystkich mansard świata. Na parapecie doniczka z czerwono kwitnącym kwiatem, którego nazwy nie znasz i nigdy nie znałeś. Nawet nie wiesz dlaczego tu stoi. Podchodzisz do okna, wychylasz się. Zdumiony kontemplujesz świat zewnętrzny z wysokości trzeciego piętra. Na dole wije się klaustrofobiczna uliczka, widzisz markizy sklepików z owocami, pamiątkami, parasolami i nakręcanymi sprężyną zabawkami z epoki której nie ma. Bruk łni wodą. Padał deszcz lub przeciśnęła się tędy przed chwilą miejska polewaczka. Jest południe lub północ, lub każda inna pora pomiędzy południem a północą. Kocie łby lśnią niczym diamenty. Mleczarz wiezie bański z mlekiem. Bańki tłuką się o siebie. Kot płoszy parę gołębi. Z kamienicy naprze-

ciw dochodzi dźwięk harfy albo cytry... To grażona tego zapijaczonego Walińczyka zakochana w celtyckiej muzyce. Helena...

Stare Miasteczko już dawno przestało być endemicznym miejscem. Martwi cię to odkrycie, chociaż nie wyrwasz sobie z tego powodu włosów z głowy.

A jednak to świt, Słońce z trudnością przebija się przez miejski smog zawieszony nad czerwonymi dachami naznaczonymi smukłymi kominami z których wydobywają się szare strużki dymu. Gdzieś, jakby z innego wymiaru dochodzi dźwięk przejeżdżającego tramwaju, jakieś strzępy rozmów, klakson samochodu. Ta kakofonia dźwięków jest jednocześnie w tobie i poza tobą, ponieważ możesz wygenerować z nich ciszę, ciszę w której można się zatopić, aby odpocząć od myśli - insektów, na które nie wynaleziono żadnego środka, aby się od nich uwolnić. Uwolnić raz na zawsze.

Nobla dla tego, który wskaże drogę do zbawiennego bezmyślenia!

Kawa. Poranna kawa. Ta myśl uwalnia cię od quasi filozofii. Przypominasz sobie prosty rytuał jej parzenia. Z górnej szafki wyjmujesz pojemnik na kawę. Jest pusty. No tak, przypominasz sobie, że miałeś wczoraj rozpocząć nową paczkę arabiki. Kawa jest w dolnej szafce, jej półkilogramowa zawartość łni czerwieni sześcianu. Z ociekacza wyciągasz potrzebny do rytuału mały nożyk którym nakłuwasz sześcian w którym uwięziona jest zmielona drobno kawa. Sześcian protestuje mdłym „pssss”, po czym flaceje. Teraz, zgodnie z rytuałem próbujesz rozciąć brzeg, niestety, nie jesteś zbyt uważny i jakaś część kawy wysypuje się na podłogę. Odkładasz sflaczały sześcian na szafkę, rozglądasz się za kuchennymi nożyczkami, są tam gdzie być powinny, w drewnianym bloczku na noże. Tniesz równo, starannie, zgodnie z codziennym rytuałem, który trochę zepsułeś odchodząc od ustalonych reguł, próbując zastąpić nożyczki nożykiem.

Teraz przesypujesz kawę do pojemnika. Koniec. Tylko jedna wpadka, których śladów za chwilę się pozbędziesz. Sięgasz po zmiotkę i szufelkę, dokładnie sprzątasz brązowe drobinki, niestety, wiaderko na śmieci, te pod zlewozmywakiem jest pełne, z tak zwanym czubkiem, większość śmieci to byle jak zmięte, zapisane kartki papieru, na jednej z nich, tej niczym wisienka na torcie widzisz litery, czytasz, *człowiek, którego nie było*.

Nie chcesz tego widzieć, (czyżby jakieś traumatyczne przeżycia) wyciągasz wiadro i wkładasz w nie swoją prawą nogę, papier poddaje się bez oporu, historii pozostałych śmieci nie pamiętasz. Wyciągasz nogę, ale wiadro więzi znoszony kapeć, próbując go wyciągnąć, drugą nogą stajesz na odłożoną na bok szufelkę, ta podnosi się i wysypuje się z niej przed chwilą zmieciona kawa. Klniesz, bo co masz innego zrobić w takiej sytuacji. Uwalniasz zakleszczony kapeć, (do którego czujesz jakąś magiczną empatię) jeszcze raz

zamiatasz kawę, którą wsupujesz do ubitego wiadra. Uf!

Człowiek, którego nie było...

Nie chcesz sobie zadawać więcej banalnych pytań, wiesz, że tam gdzie nie zadaje się pytań, nie udziela się też odpowiedzi. A ty, jak zawsze masz więcej tych pierwszych.

Odkręcasz wodę, namydlasz dłonie mydłem w sztyfcie. Chyba nie masz innego mydła oprócz tego. Przynajmniej nie ma go teraz pod ręką. Wycierasz dłonie w ściereczkę wiszącą na plastikowym haczyku przyklepionym do szafki. Po czym nalewasz wody do czajnika. Jesteś oszczędny ponieważ nalewasz odrobinę więcej niż wypijesz, niż mieści się w szklance, do której sypiesz teraz dwie łyżeczki aromatycznej kawy. Woda zagotowuje się błyskawicznie i po kilkunastu sekundach twoja mansarda przepelniona jest aromatycznym zapachem tak charakterystycznym dla wszystkich kafejek świata.

Szklanka z kawą, niczym kadzidełko uwalnia przyjemny aromat. Czasem odnosisz wrażenie, że to przedśmiatek nieba, ale tylko czasem, tylko wtedy, kiedy budzisz się zresetowany, kiedy przeszłość nie obszczekuje cię niczym wiejskie kundle.

Przenosisz wzrok na wiadro ze śmieciami, przydałoby się wyciągnąć worek i założyć nowy, a stary wystawić za drzwi, potem, kiedy pójdziesz błędzić w labiryncie uliczek Starego Miasteczka wyrzucisz go na śmietnik. Ale najpierw poranny rytuał picia kawy? Śmieci wyrzucisz później. Tak, zrobisz to później, pewne czynności trzeba odłożyć na później, choćby takie, jak umieranie... Przyklejasz wzrok do szklanki z kawą, no tak, zapomniałeś przykryć ją szklanym spodkiem jak to robiła twoja mama, szybko naprawiasz swój błąd i teraz kawa zaparza się jak należy. Parzysz jak fusy powoli opadają na dno. Na dno... Dno? Boisz się tego słowa. Wypierasz je ze swojej świadomości. I nie zadajesz więcej pytań, poza tym ostatnim, paradoksalnym – po co w ogóle zadawać pytania?

Nie wiadomo czym kierowany rozglądasz się po mansardzie, jakbyś szukał jakiegoś zagrożenia ukrywającego się gdzieś w jej zagraconych kątach, za uginającymi się pod ciężarem książek regałami, albo w lustrze, kiedy na nie nie patrzysz. Tego ostatniego boisz się najbardziej, że zobaczysz obcą twarz tuż obok twojej. Skąd ten nagły niepokój? A jednak nie uchronisz się od pytań na które nie ma odpowiedzi.

W takich chwilach dobrze jest podejść do otwartego okna, aby zaczerpnąć świeżego powietrza tak potrzebnego dla uspokojenia. Podchodzisz. Kamienica w której mieszkasz jest na najwyższym wzniesieniu Starego Miasteczka. Słońce na dobre muska już swoimi promieniami czerwień dachów, dachów pokrytych wypalonymi z gliny dachówkami. Ten widok ma na ciebie kojący wpływ i jeszcze ta bryza z pobliskiego jeziora. Jest dobrze. Oddychasz głęboko zapominając o demonicznym odbiciu w lustrze.

Nie ma czego się bać oprócz wspomnień.

Żona... Helena. Dwie żony. Dwie Heleny. I trzecia, żona Walijczyka. Pierwsza Helena urodziła ci syna, druga Helena córkę. Trzecia gra na harfie. Widzisz ich twarze, pamiętasz głos swoich dzieci, dzieci, które nie chcą pamiętać ciebie. Muzyka cichnie...

To zabolalo. Zabolalo! W ogóle skąd się wzięło? Może bezpieczniej skonfrontować się ze swoim demonem w lustrze niż bolesnymi wspomnieniami?

Może...

Za oknem ciemnieje, wiatr przygnał ciężkie chmury, nieprzespane noce, zmięte kartki zapisane drobnym maczkiem i mnóstwo dymu z wypalonych papierosów.

O czym tak namiętnie piszesz po nocach? O swoim nieudanym życiu? O psie, którego znalazłeś na skraju drogi przywiązanego do drzewa? Tak, o psie. O tym zwierzaku, który wzbudził twoją litość, zupełnie nieświadomy tego, jak bardzo się z nim utożsamiał, z tą różnicą, że ciebie nikt nie przygarnął, że nad tobą nikt nie okazał współczucia...

Być może słusznie! Gdybyś był psem, zapewne skończyłbyś w lesie przywiązany do drzewa.

A więc stoisz przy oknie mikszując wspomnienia zapachem kawy. Dedalus, bo tak dałeś mu na imię odwdzięczył ci się niespotykaną wśród ludzi wiernością...

Kolejne westchnienie, kilka kroków po kawę, upity łyk po drodze i ponownie stoisz przed oknem. Przyglądasz się parze gruchających gołębi na dachu sąsiedniej kamienicy, która wydaje się być na wyciągnięcie ręki.

Stare Miasteczko jest ścięzione do granic absurdu niczym dębowe deski w beczce. Pamiętasz jednego bednarza, ale nie pamiętasz jego imienia, jego twarz przypominała twarz Lenina. Uśmiech zapijas kolejną porcją kawy. Lubisz takie wspomnienia, neutralne, nawet ciepłe... Jakiś czas temu nawet cię odwiedził... Edward! Przypominasz sobie jego imię. Był zdziwiony sposobem w jaki zaparza kawę... Powiedziałeś, że ten rytuał przejąłeś od swojej mamy. Mama... Wydaje ci się teraz dwa razy większa niż była w rzeczywistości, ma niebiesko – szare oczy nie wyrażające niczego poza kolorem. Nigdy nie odczułeś od niej nadmiaru ciepła, wręcz przeciwnie. Pamiętasz jej wykrzywioną twarz nad sobą i słowa, które zabiły w tobie coś ważnego, zabiły ciebie samego. Żadna matka na świecie nie powinna wypowiadać takich słów:

Gdybym wiedziała, że będziesz tak się zachowywał to bym cię udusiła, kiedy byłeś jeszcze niemowlakiem!

A więc jesteś niedopatrzaniem, pomyłką, kimś kto zajmuje przestrzeń komuś lepszemu, zdolniejszemu. Zostałeś urodzony do zadań, których nie jesteś w stanie zrealizować, do celów, których nie osiągniesz. Jesteś, ale tak, jakby cię nie było. Twój wzrok podąża za matką, która nie jest już twoją matką, a może nigdy nią nie była. Ale ty, jako kilkuletnie dziecko tak bardzo potrzebujesz matki, matki

o piwnych, ciepłych oczach. Idziesz za nią do kuchni i obserwujesz jak nigdy dotąd, jak dzieciak, którego nie ma. Matka gotuje wodę, sypie do szklanki dwie łyżeczki kawy, od czasu do czasu patrzy na ciebie z góry. Nie wiesz co teraz sobie myśli ta 26-letnia blondynka, i nie możesz o tym wiedzieć. Czajnik gwizdże, mama zalewa kawę, szklankę nakrywa szklanym spodkiem, patrzysz jak fusy opadają na dno. Mama zapala papierosa, dorośli ludzie palą papierosy i piją kawę, to przywilej dorosłych, ty też chcesz być dorosły, też chcesz pić kawę i palić papierosy. Mama zdejmuje zaparowany spodek ze szklanki, odkłada na zlew. Zlew jest stary, mosiężny, brzydki. Brzydki jak cały wystrój waszej kuchni, waszego mieszkania, które służy jedynie do spania, picia kawy i palenia papierosów. Zahipnotyzowany całą tą sytuacją, tymi słowami, których nie powinieneś nigdy usłyszeć suniesz za matką, dla której już nie jesteś synem, do dużego pokoju. Duży pokój zawiera w sobie trzydrzwiową szafę, bukowy stół otoczony sześcioma tapicerowanymi krzesłami. Między oknem a balkonowymi drzwiami stolik z lampą z olbrzymim abażurem, na stoliku telewizor. Mama nie zwraca na ciebie uwagi, tak, jakbyś przestał dla niej istnieć, prawdę mówiąc to początek twojego bezistnienia, właśnie zacząłeś być człowiekiem, którego nie było.

Miroslaw Majewski



Pół wieku poetyckiej wierności

Na świecie istnieje około trzech tysięcy języków, dokładna liczba jest nieznana, ponieważ nie wszystkie zostały zbadane i nie zawsze wiadomo, czy mamy do czynienia z samodzielnym językiem, czy dialektem. Do tych tysięcy, albo wśród nich, należy doliczyć specyficzny i zazwyczaj bardzo oryginalny język liryki, tworzą go poeci całego świata, a rezultaty mają czytelnicy w postaci publikowanych tomów wierszy. Niektórzy czynią to przez całe swoje dorosłe życie.

Przykładem może być **Wojciech Kawiński**, związany z Krakowem, gdzie od lat mieszka i pracuje, a urodzony w Dębicy w roku 1939. Jest autorem kilkunastu zbiorów wierszy, którymi dowodzi swej poetyckiej wierności poezji. Trwa to już całe półwiecze. I wcale – na szczęście dla czytelników i autora (!) – nie widać końca. Ostatnio bowiem Kawiński ogłosił nowy zbiór wierszy pt. „Sennik poranny”. Tytuł jest trochę mylący, bo książka ma niewiele wspólnego ze snem. Są to

bowiem ostre, nie brutalne opisy naszej rzeczywistości. Są lakonicznością porażają:

*Bliskie
wzniosłe niskie:
nasze
czyń wszystkie*

(„Przewrotność artykulacji”)

Ta tytułowa przewrotność cechuje większość ostatnich wierszy krakowskiego poety. O filozoficznym wyciszaniu, jakże nam dzisiaj potrzebnym nie ma co marzyć ani myśleć. Można go szukać jedynie w snach i odczytywać ich znaczenie w sennikach.

Poeta nie okazuje dla nas litości, bo pisze:

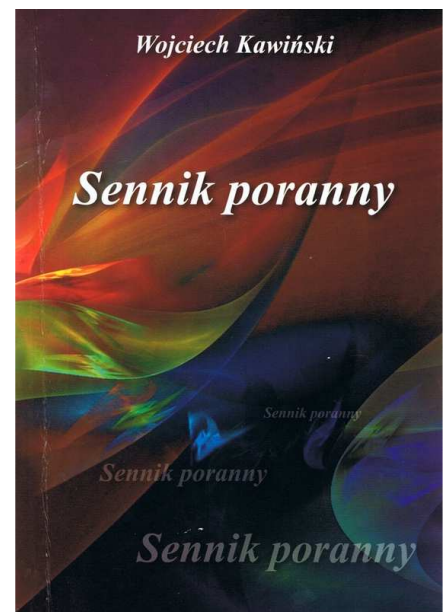
*Stoisz, a jakbyś najostrożniej biegł
Budzisz, a jakbyś niewidzialnie spał
W sitowiu, obok jednej z rzek
Wśród innych, odpoczywających ciał*

(„Z historii naturalnej”)

Niektóre wiersze można odczytać jak kawałek rozliczeniowej prozy. „Historia: jak to historia podpisuje: kolejny memoriał Irena Solska: Witkacy właśnie: bywają rodacy / Nałkowska Irzykowski miłość: bez wzajemności / soliński: Białośzewski / słowa zostały: chwile przeszły / Gąsiorowski: Ewa / rychłego końca nikt się nie spodziewał / Ty i twoje proste kłopoty / wiadomo: nawet nicość, mam swój motyw”.

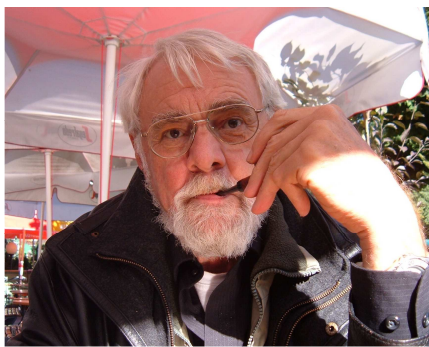
Wojciech Kawiński w swym „Senniku porannym” pesymistycznie objaśnia polskie sny. Kłamałby, gdyby czynił inaczej. Wie doskonale, że prawdziwi poeci nigdy nie kłamią. Wolą sami cierpieć w swej powszechnej samotności.

Emil Biela



Wojciech Kawiński, *Sennik poranny*. Redakcja: Jacek Lubart-Krzysica. Projekt okładki: Andrzej Błaszczuk. Wydawca: Oficyna Konfraterni Poetów – 1986, Kraków 2015, s. 88.

Zamyślenia



Uchodźstwo, to brzmi gorzko

Exodus, wędrówka ludów... Idąc za biegiem wieków, nie było to niczym dziwnym w swych objawach. Wieki mijają i scena jest ta sama, nie zmienia się ani na jotę. Tak mówią adwokaci ubogich. Były pochody ogromnej masy ludzkiej stąd tam i stamtąd, tu. Często owe wędrówki ludów były pogardzane i prześladowane, kiedy obejmujemy spojrzeniem Szeroką perspektywę historii. Wędrówki te były pod różnymi nazwami i kierowały tymi pochodami ziemskimi różne namiętności i słabości, także uwarunkowania. To nade wszystko strach o własne życie i życie swych najbliższych. Każda z tych wędrówek ludów wymaga wyliczeń coraz innych, jeśli chodzi o potrzeby oraz pragnienia ludzi decydujących się na zmianę swojego położenia, tak obszarnego jak i ekonomicznego. Uchodźstwo, to brzmi gorzko. Znam ten smak Fremd in Deutschland (Obcy w Niemczech).



W kraju, do którego powróciłem po latach, też czuję smak obcości. Może inaczej, ale też intensywny. Bo niby u siebie, a nie u siebie. Jakby u obcych. Nagromadzono całe skarby myśli o emigracji, o uchodźstwie. Dziś szczególnie myśli te przebrzmiewają w mediach w związku z wielką falą uchodźców bijących już pięściami w drzwi Europy. Podobno szeroko otwartych, ale tak naprawdę zaciągniętych drutem kolczastych głosów

sprzeciwu w tysięcznych już formach swego wyrazu. Ta papka za i przeciw nuży. Każda taka wędrówka ludów bez względu na to, jaka jest jej filozofia, to jak karty wielkiej księgi życia. Niestety, ale Stara Europa została zaskoczona i nie posiada harmonijnego planu jednolitości w tym temacie oceny potrzeb, jakie niesie ze sobą to wydarzenie. Zabrakło apostołów jasnowidzących, którzy potrafiliby przygotowywać Europejską Wspólnotę, pouczyć i wskazać cele i potrzeby. A będąc już przy prorokach oraz ludziach genialnych w tej mierze przypomnę, że Platon otrzymał swe natchnienie na szczycie Hymettu, Mahomet na Górze Hira, Mojżesz na Synaju. Tymczasem szczyt Unii Europejskiej zamarł z wrażeń. Cóż, urzędnicy, to nie prorocy i ojcowie myśli, jasnowidzący i natchnieni. Prorokować nie znaczy przepowiadać i odgadywać. I mamy to, co mamy. I jeszcze będziemy mieć, bo Europa zaludnia się muzułmanami. Ich religia posiada Koran, jak napisał swego czasu Barthelemy Saint-Hilaire – najpiękniejszy pomnik języka, w którym jest owa księga napisana „i nie znam nic podobnego w historii religii ludzkiej”. Niewątpliwie to tłumaczy olbrzymi wpływ, jaki ta książka miała na Arabów. Nie ma w niej nic o przemoc, o terroryzmie, o ścinaniu głów, burzeniu najstarszych zabytków tego świata. Tu wspomniany autor twierdzi, że „tą świętą Księgę nie mógł napisać Mahomet przy swoim niskim wykształceniu i była mu podyktowana przez anioła”. Tak czy siak wszystkie dzieła genialne roją się od widm i zjaw i nie jest to abstrakcja letargiczna. Mówił Eschyles: „Tam, tam umarli, wy ich nie widzicie, ale ja widzę ich...”. Czy to mowa anioła? Cóż, oczarowani światem widzialnym, należy mieć równocześnie zwrócone oczy na świat widzialny...

Kazimierz Iwosse



Anna Andrych

Początek

Ponad ogrodem mojego dzieciństwa skowronek śpiewał hosannę na wysokości serca
mama trzymała dłoni
od jej ciepła biło moje serce
tato nie potrafił
wbicie szpadel w serce zieleni
by wyrosły
grządki pełne warzyw
ukłękł w majowej trawie
pod jabłonią
popatrzył rumiankom w oczy

zerwał jakiś zapach
i pozostawił wszystko tak jak było
dziewiczą łąkę i sad razem wzięte
w posiadanie
najpiękniejszych wspomnień

Drzewo życia

w szczelinie pnia
ukryję
kawałek nieba
na czarną godzinę

drzewo musi być zdrowe

na grobowe deski

* * *

Pamiętam
okno

w które wpisałam pierwszy wiersz
czas dzikiego wina świergotu wróbił
roześmianych zabaw z siostrą
i płomień kaflowego pieca
zniżający się do szeptu
nad ciszą wieczoru
tato opowiadał bajecznie
czajnik posapywał gotowy na herbatę
mama pochylała głowę
skupieniem nad stołem
chowala przed nami
do kieszeni fartucha
łzy
odkryliśmy je za późno

Antidotum

dzisiaj znowu krzyczałam w noc
potem siedząc na łóżku
kołysałam się w przód i w tył
dłonie zaciskając na skroniach
mój syn mówił
że to choroba
sieroca

zegar pokazał mi język
więc go wyrwałam
zgarnęłam z półki album
rodzinny
kalendarz w którym nie było
żadnego święta
wyszłam na balkon i wyrzuciłam
z ósmego piętra na bruk
kiedy już byłam gotowa
do skoku
uderzyło mnie nagle
– wariatka



KOZETKA (5)



Wielka improwizacja

Życie to wielka improwizacja, czasem, aby się nie pogubić, wspieram się książkami lub teatrem.

Tymi laboratoriami duszy.

Weekend. Dwa dni z mojego pamiętnika, dwie pasje, dwie miłości:

JOANNA FRIEDRICH

Dzień 1:

„Wszystkie dobre książki mają jedną cechę wspólną: są prawdziwsze, niż gdyby wydarzyły się faktycznie.”

Ernest Hemingway

Jadę autem i słucham w radiowej „Trójce” wywiadu z pisarzem z Antypodów, Richardem Flanaganem, laureatem Nagrody Bookera (2014, za „Ścieżki północy”, pisał tę książkę 12 lat).

Mówi, że nie może oprzeć się wrażeniu, że powieść europejska zawsze opowiada o samotności głównego bohatera. Samotności wśród ludzi.

Typowy Europejczyk to, dla mieszkańców innych kontynentów, najczęściej, zbziorny, bezdzietny intelektualista, którego liberalizm za mocno przesłonił mu świat.

„Starość” Europy i jej przesadne ucywilizowanie, nagromadzenie Kultury w jednym miejscu, to to za czym człowiek tęskni, kiedy go tu nie ma.

Opowiadanie sobie siebie nawzajem pomaga przetrwać wszelkie tęsknoty. Układanie świata na nowo, idzie pisarzom tak dobrze, że powstają światy równoległe, piękniejsze,

pełniejsze, czasem wyidealizowane, ale jakże pomocne i wierne. Niekonieczne wierne twórcom, wierne czytelnikom, ich potrzebie chwili. Potrzebie zanurzenia się w alternatywną rzeczywistość.

Tym karmi się ducha.

O „duchu” mało kto rozmawia, nie mówiąc o pokrzepieniu serc, funkcji popularnej w czasach Sienkiewicza.

Sztuka ma ratować przed nieznośną prawdą, jest enklawą, ukojeniem.

Siedzę na tarasie i łapię ostatnie promienie słońca. Właśnie znowu otworzyłam „Annę Kareninę”, moją bliską przyjaciółkę.

Stronice tej książki są jak kurtyna w teatrze życia. Przed moimi oczami staje magiczny świat z przeszłości. Obraz ludzkiej natury bez wieku.

Kolejna odsłona kobiecości. Kobieta w życiowej podróży, w której brak drogowskazów i tylko fabuła i osnowa powieści zdają się nadawać sens wydarzeniom.

Co nadaje sens prawdziwemu życiu?

Trzeba sobie szybko na to odpowiedzieć, zanim o nasze nogi, niczym znajoma kotka, otrze się jesienna chandra.

Dla mnie są to ludzie i ich opowieści. Koloryt jesieni, nawet ta lekka, mglista melancholia. Znajomy, północny chłód.

Opowieść Anny Kareniny i innych moich znajomych kobiet, których nie rozdzielam na postacie literackie i realne.

Mam szczęście znać takie kobiety, które są idealnym materiałem na gęstą, treściwą powieść o XXI wieku...

...puentą radiowego wywiadu jest wniosek Flanagan, że czasem kilka chwil w życiu obfituje w takie emocje, że nie jest ich w stanie zastąpić najlepsza książka.

Życie pisze najlepsze scenariusze. Jeśli to nie *happy end*, to jeszcze nie jej koniec.

Dzień 2

Mówiłam, a może tylko pomyślałam wiele razy, że wielkim moim marzeniem jest stać się, choć na chwilę, aktorką. To jakby żyć wielokrotnie! Żyć w obrazie, spektaklu, jak mówił Tadeusz Kantor – w scenie.

Niestety mam problem z zapamiętaniem najmniejszego kawałka tekstu na pamięć.

Mój mózg jest zdominowany przez program wariacji. Nigdy nie powtarza dwa razy tego samego zdania. Przynajmniej stara się. Mnie zdominować / być moim reżyserem.

Czasem widzę, jak niewiele mam ze sobą wspólnego, ekspresowo tracę kontakt z przeszłością. Śni mi się motyle.

Wtedy wiem, że przychodzi kolejna wlinka, małe życiowe katharsis. Intuicja bierze sprawy w swoje ręce.

Te chwile nadchodzą niespodziewanie i, co ciekawe, mój wewnętrzny zegar jesień traktuje jak wiosnę. Budzę się do życia, ożywiona chłodem i zarumieniona jak jarzębina.

Zawsze wtedy noszę czerwień i mówię

jeszcze więcej niż zwykle, planuję wiele, wiedząc, że i tak będzie dobrze, jeśli chociaż połowę z tych planów uda mi się zrealizować. Nie szkodzi.

Moment katharsis wszystko ułatwia. Nie ma nic trudnego.

Te momenty jasności widzenia uświadamiają mi, że życie to nie tylko wielka improwizacja i trema tu nic nie pomoże. Życie bardzo przypomina teatr, czasem osamotnione w swojej nagości i lapidarności, przy umiejętnej grze – tworzy z tych cech niezaprzeczalne atuty.

Staje się to jednak tylko wtedy, kiedy budzimy w sobie skłonność do zabawy. Życie lubi być traktowane lekko. Muskane. Słowem, ruchem, no, chociażby nastawieniem.

W teatrze siła ekspresji jest tak silna, że wypłukuje niczym wodospad wszystkie tajemnice z dna duszy. Teatr bawi, uczy i filtruje.

Jak pisze Peter Brook:

„Weźmy dowolną pustą przestrzeń i nazwijmy ją „nagą sceną”. Niechaj w tej przestrzeni porusza się człowiek, i niechaj obserwuje go inny człowiek. I to już wszystko, czego trzeba, by spełnił się akt teatru.”

Gustaw Holoubek: „Jeśli dwóch ludzi rozmawia, a reszta słucha ich rozmowy – to już jest teatr.”

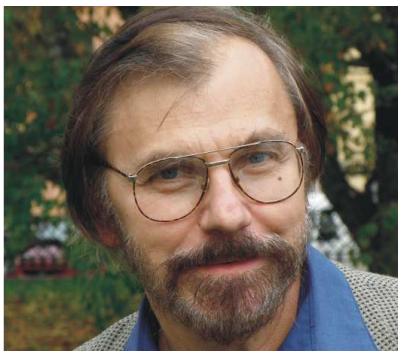
I najlepszy z najlepszych: William Shakespeare: „Świat jest teatrem, aktorami ludzie, Którzy kolejno wchodzą i znikają.”

cdn.



Rys. Barbara Medajska

Listy do Pani A. (88)



Zaplatanie sieci

Droga Pani!

W październiku wielu poetów było poszkodowanych, ponieważ musieli dokonać wyboru, w której imprezie literackiej wezmą udział. Złożyło się bowiem tak, że aż trzy festiwale wypadły w tym samym terminie: XXV Galicyjska Międzynarodowa Jesień Literacka, Warszawska Jesień Poezji oraz Festiwal Poezji Słowiańskiej. Trzeba więc było zdecydować, gdzie pojechać, bo – niestety – być w trzech miejscach jednocześnie jeszcze nie potrafimy, choćbyśmy nie wiem jak chcieli.

Przyznam się Pani, że nie było mi łatwo. Przez Kapitułę WJP zostałem nominowany do Nagrody Słowackiego. Festiwal Poezji Słowiańskiej, który organizuje Aleksander Nawrocki, bardzo lubię. Uczestniczyłem w nim od lat, i żał teraz zrezygnować. Ale też od lat jeździłem do Kąsnej Dolnej na Galicyjską Jesień, której organizatorem i dobrym duchem jest Andrzej Grabowski wraz z żoną Grażyną Grabowską i synem Arturem. Ten festiwal trwa najdłużej, bo aż cały tydzień. Łączy się z podrózkami do różnych miejscowości Pogórza, i ze zbiorowymi koncertami w większych ośrodkach kultury, jak Tarnów, Gorlice, Olesno, Tuchów. W Dworku Paderewskiego jest zawsze uroczysty koncert finałowy. Szkoda że w tym roku nie stawili się gremialnie miejscowi dygnitarze. Widocznie kultura im zubożyła, albo zapomnieli, że ona w ogóle istnieje. Poza tym nie przynosi to zysków, a więc szkoda pieniędzy na benzynę, choć to tylko pieniądze służbowe. Podobnie było w Gorlicach i w Tarnowie. Natomiast Olesno stanęło na wysokości zadania. Piękna sala nowej biblioteki pękała w szwach, a przyjęcie poetów godne monarchów.

Wyszedłem z założenia, że pomimo nominacji Nagrody Słowackiego najpewniej nie otrzymam, co zresztą okazało się prawdą. Ucieszyłem się, że nagrodzony został Marek Wawrzekiewicz, bo w całej pełni na to zasługuje.

Festiwal Poezji Słowiańskiej odbywa się także w Warszawie, ale uczestniczę w nim stale. Wybrałem więc Galicję ze względu na poznawanie nowych miejsc, nowych ludzi, atrakcyjne spotkania.

Jak co roku pojechaliśmy we dwoje z Kysią Konecką. Dobrze się nam podróżowało, Kysia bawiła mnie rozmową niemal przez całą drogę, a

dojazd do Kąsnej okazał się bardzo łatwy, bo skończyły się remonty dróg, które też zostały lepiej i przejrzysiej oznakowane niż to było w zeszłym roku.

Jechałem pewnie, jakby zaprzeczając żartom kolegów, że zostanie mi wręczony dyplom Nikifora Nawigacji. Już pisałem Pani, jak rok temu wjechałem do lasu w błoto, i dopiero wspólnie z przygodnie spotkanym grzybiarzem wypchnęliśmy samochód na grunt stały. Ale i tak na spotkanie spóźniłem się wtedy tylko pół godziny. Wszystkim jednak ta przygoda zapadła tak głęboko w pamięć, że jeszcze teraz potrafiła bawić.

W Galicji wiele bywa zabawnych momentów. Był z nami, zresztą razem kwaterowaliśmy w pokoju, świetny muzyk, wirtuoz, Andrij Jackiw z Ukrainy, grający na różnych fletach, a przede wszystkim na akordeonie – guzikówce. Nie do wiary, co potrafi wygrać na guzikówce. Otóż grał Toccata Bacha. Słyszeliśmy nie akordeon, a organy najlepszej klasy, niczym oliwskie albo leżajskie, posiadające niezliczoną ilość piszczałek. Siedzieliśmy jak zahipnotyzowani, zdumieni wirtuozem. Zawsze też podczas koncertów Andrij demonstrował zestaw fletów. Kiedy Andrzej Grabowski na jednym z koncertów spytał, czy artysta będzie miał jeszcze siłę pokazać swoje instrumenty, Kysia Konecka powiedziała radośnie: „nawet dał mi potrzymać!” Sala wybuchnęła głośnym śmiechem.

W Tarnowie koncert odbył się tradycyjnie w Ratuszu, w sali pełnej staropolskich portretów. Tarnów nie był jednak dla mnie dojazdową gehenną, bo wszystkie samochody pilotował Andrzej Grabowski, a robił to w tym roku doskonale, i nikt się nie zgubił.

W zabytkowej sali Tarnowskiego Ratusza prócz portretów są stylowe sprzęty, w tym podłużna, rzeźbiona skrzynia. Zauważył ją Lam Quang My, i teatralnym szepcłem zapytał Janka Tulika: „Czy w tej trumnie są zwłoki?” I wcale nie wyglądało to z jego strony na żart. Żalowałem, że nie zapytał akurat mnie, bo nie odmówiłbym sobie, aby potwierdzić albo namówić go, by zajrzał do wnętrza osobiście.

Tydzień zleciał błyskawicznie. Ani się obejrzelśmy, kiedy przyszła sobota, a z nią koncert finałowy. Staraliśmy się, aby wypadł uroczysty, bo to przecież dwudziestopięciolecie Festiwalu. Przez ćwierć wieku Andrzej Grabowski organizuje tę imprezę. A nawet dłużej, bo przecież wcześniej odbywała się w Kąsnej Dolnej poprzedniczka Międzynarodowej – Literacka Jesień Pogórza.

Tak więc koncert finałowy przebiegał pod znakiem wspomnień, laudowania Grabowskiego, co było w całej pełni uzasadnione. Pewnie pamięta Pani znak naszego festiwalu: konik na biegunach. Kysia Konecka od długiego czasu szukała takiej figurki, aż znalazła gdzieś w Gdańsku spiżowego rumaka na biegunach, wypisz, wymaluj jak logo Jesieni. Wszyscy podpisaliśmy się na specjalnym kartonie. Życzenia oraz konik umieściliśmy w przezroczystym etui. Andrzej ucieszył się bardzo, aż się popłakał ze wzruszenia. Ma on tę cechę, że nie wstydzi się łez. Stwierdził, że są takie chwile, kiedy mężczyzna może płakać, bo świadczy to tylko o wrażliwości, a nie czyni z człowieka jakiegoś mięczaka.

Podziwiałem też Kysię, że z taką wytrwało-

ścią i konsekwencją szukała tej figurki, aż wreszcie znalazła. Powiedziałem jej, że gdzie diabeł nie może, tam Kysię pośle, co zresztą niejednokrotnie się sprawdzało. Myślę, że i Panią byłoby na to stać, przynajmniej w pewnych okolicznościach...

Dużą zasługą Andrzeja Grabowskiego jest atmosfera Galicyjskiej Jesieni. Nie dopuszcza się tu żadnych konfliktów, zwłaszcza na tle politycznym. Zwłaszcza teraz jest to bardzo ważne. Do rangi symbolu urosł fakt, że bard rosyjski Vladimir Stockman w duecie z poetą ukraińskim Wołodymyrem Garmatiukiem śpiewali w duecie pieśń pacyfistyczną.

Koleżanek i kolegów z Ukrainy było kilkoro. Wszyscy poeci Jesieni odnosili się do siebie po przyjacielsku. Byliśmy tam poetycką jednością. Znamy się od lat, lubimy, a ci których dopiero teraz poznaliśmy w całej pełni pasują do naszego towarzystwa. Dzięki temu Festiwalowi zawiązaaliśmy wiele przyjaźni, zżyliśmy się ze sobą niczym jedna artystyczna rodzina. Poeci powinni być daleko od polityki. To domena oszustów, nierzadko morderców, a zwykle cynicznych karierowiczów. Tak jest na całym świecie, tak też i u nas. Różnica pomiędzy sztuką a polityką jest ta, że sztuka nie przemija, pozostaje w pamięci, w emocjach, a polityka jest jętką jednodniówką. Pisarzy na ogół pamiętamy, zaś polityków zapominamy, bo to osobniki uciążliwe tylko przez chwilę.

A czy nasza poezja przetrwa? Może to nie jest aż takie istotne. Ważne, że piszemy, żyjemy, opowiadamy świat i kreujemy go według nas. Ktoś to czyta teraz, przeczyta może nawet w dalekiej przyszłości.

Opisuję Pani już po raz osiemdziesiąty ósmy najrozmaitsze zdarzenia, przemyślenia, nie wiedząc nawet, czy Pani to przegląda. Nawet do końca nie wiem, czy Pani naprawdę istnieje, czy tylko została poczęta w mojej wyobraźni. Wiem jednak, że jedna i druga wersja może być prawdziwa. Pani sylwetka jednak jest tak przekonująca, że wiele osób wierzy w Pani realne istnienie, a nawet są tacy, którzy potrafią być o Panią zazdrośni. Do zazdrośników należy m.in. Jan Stanisław Kiczor, poeta klasyczny, mąż wielkiego poetyckiego majestatu, wraz z którym (wraz z Kiczorem, nie z majestatem) walczyliśmy wspólnie z tatarami w Literatce. Po powrocie z Kąsnej znalazłem w swojej poczcie jego wiersz. Zacytuję fragment:

*Z imaginacji, Pani wie, rodzi się nadmiar, lub brak
czegoś,
czy zwykła zazdrość, choćby o korespondencję
Jurkowskiego,
który do Pani listy śle pełne przemyśleń, zwierzeń,
faktów,
jakby zaplatł wokół sieć (nie wiem – świadomie czy
przypadkiem)*

Jest to w pewnym sensie kwintesencja tych „Listów”. Ale nie będę obłudnikiem, i przyznam, że tę sieć zaplatam najzupełniej świadomie. Po prostu – tyle mojego, co sobie zaplotę...

Serdecznie Panią oplatam, to jest – chciałem powiedzieć – pozdrawiam!

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Adam Szyper

10 października dostałem taki oto smutny e-mail... „Drogi Panie Dębkowski... Czuje się w obowiązku zawiadomić Pana, że 30 września 2015 roku umarł we śnie wspaniały człowiek, wspaniały poeta, mój mąż Adam Szyper. Pan – chyba jeden z nielicznych w Polsce – bardzo dobrze rozumiał i cenił Adama i jego poezję, dlatego uważałam za mój obowiązek zawiadomić Pana o Adama śmierci. Życzę wszystkiego najlepszego Panu i Pańskiej rodzinie...”

Mira Szyper
Nowy Jork, 10 października 2015 roku”.

Dla mnie to nieprawdopodobnie przykra wiadomość, bo odszedł człowiek, z którym związane byłem w sposób szczególny. Adam należał do tej grupy przyjaciół wyjątkowych, takich jak: Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Henryk Cyganik, Tadeusz Chróścielewski czy Jerzy Tomaszewicz...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

19 września 2009 roku dokonałem takiego wpisu w moim „Dzienniku”: *To był wyjątkowy dzień. Po trzech latach spotkałem się z moim przyjacielem, Adamem Szyperem. Adam mieszka w Nowym Jorku, do którego wyprowadził się po latach życia w Polsce i Izraelu. Tam pracował, tam ma rodzinę i tam spędzi resztę ze swoich dni... Tak, resztę życia spędzi tam... Myślał o starości w Łodzi. Chciał tutaj sprowadzić swoją żonę, ale życie układa swoje własne scenariusze. Choroby własne i syna nie pozwalają mu na spełnienie marzeń. Nie spocznie obok swoich rodziców, na łódzkim cmentarzu. Przyjechał żegnać się z Polską! Przyjechał żegnać się z tymi, „z którymi warto to zrobić” – jak ciągle mi powtarzał. Spędziliśmy razem całą sobotę. Na rozmowach i na wspomnieniach. Najbardziej żałował wielu polskich znajomości, jak został*

skrzywdzony i wykorzystany, ale nie chce już więcej o tym mówić, chce zapomnieć, a zabrać ze sobą tylko dobre wspomnienia...

Teraz sprzedaje swoje mieszkanie, pozbywa swoich „skarbów”, rozdaje książki i obrazy. Księgozbiór postanowił przekazać mnie, bo – jak stwierdził – „niech książki idą w najlepsze ręce”. Zrobiło się gorąco, a ciarki przeszły mi po plecach. Przecież nie mogłem się tego spodziewać. Przejęcie od kogoś jego własnych książek, które zbierał całymi latami, to coś takiego, jakby przejąć czyjąś duszę, jakby poznać myśli przyjaciela, którego zna się od ponad piętnastu lat. A łączy nas przecież tak wiele – wspólnych podróży literackich, setki godzin rozmów o literaturze, filozofii, historii, polityce i jakieś takie wzajemne zrozumienie. Od samego początku naszej znajomości (a poznaliśmy się w Lublinie, u nieodżałowanego Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa) zawsze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Tak pozostało do dzisiaj...

Adam wyjeżdża za ocean i – jak mówił – będzie tu jeszcze wpadał, bo ukochał tę swoją Łódź i polubił mój Żelów, do którego tak zawsze chętnie przyjeżdżał...



Ja z Adamem w jego jeszcze łódzkim mieszkaniu.
19 września 2009 roku.

Adam Szyper był człowiekiem wyjątkowym. Bez przerwy mówił o sobie: jestem „Diabeł-Żyd”. Był niezwykle otwarty na drugiego człowieka. Uwielbiał polemizować, a był przy tym rozmówcą bardzo wymagającym – elokwentnym, czytany i niezamknięty tylko na swoje poglądy. Pamiętam wiele takich polemik – czy to u mnie w Żelowie podczas Ogólnopolskich Konfrontacji Literackich, czy to w Poznaniu w barze KFC, gdzie dość mocno stał się w świadomości tego sporu byłem i ja, i Józef Baran. Jednak wszystko odbywało się z wielką kulturą, bez wzajemnego obrażania, tak, jak powinni to robić cywilizowani ludzie.

Miał wielu przyjaciół, ale i byli wokół niego ludzie mu niechętni, tacy wyzyskiwacze. To go chyba jednak najbardziej bolało i w rzeczywistości doprowadziło do tego, że po raz drugi wyjechał z Polski.

Adam Szyper po prawie czterdziestu latach życia za oceanem marzył o tym, aby wrócić do Polski, tu spotykać się ze swoimi kolegami po piórze, aby tu wydawać. Ażeby znowu być wolnym, wolnym od pędu cywilizacji, która tak naprawdę nie pozwala mu się realizować. Napisałem w jednym ze swoich wierszy – jemu dedykowanemu – że „dobrze że piszesz o murzyńskich gettach na ulicach Manhattanu / i że nie zapominasz o niezdolnym powietrzu na

Piotrkowskiej”. W Łodzi, oczywiście... Rzeczywistość okazała się okrutna. Po kilku latach pobytu w Polsce poeta ponownie wyjechał za ocean, tym razem bezpowrotnie... Szkoda, wielka szkoda Adamie...

Był tłumaczem poetów amerykańskich (Stanley Barkan, Stanley Kunitz, Gerald Stern). To on przybliżył polskiemu czytelnikowi twórczość wybitnego arabskiego poety Rumiego („Wszystkie głosy w jednym” – Wydawnictwo Nowy Świat). Był jednym z głównych sprawców spotkania polskich poetów w siedzibie ONZ, gdzie oprócz wybitnych poetów amerykańskich: Kunitza, Taylora i Sterna, występowali ze strony polskiej: Bogusław Żurkowski, Dariusz Tomasz Lebioda i Józef Baran.

Adam Szyper urodził się 6 grudnia 1939 roku w Łodzi w rodzinie żydowskiej. W 1940 roku wraz z rodzicami został przesiedlony do łódzkiego getta, gdzie spędził cztery lata. Przeżył pobyt w pięciu niemieckich obozach koncentracyjnych, w tym Auschwitz. Po zakończeniu wojny powrócił do Łodzi. W 1957 roku wyemigrował do Izraela, a w 1962 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i osiadł w Nowym Jorku.

Publikował swoje wiersze w języku polskim i angielskim. Znał również język hebrajski, rosyjski i esperanto, z których tłumaczył na język polski. Jego wiersze publikowane były w licznych antologiach i magazynach literackich. Był współpracownikiem miesięcznika „Tygiel Kultury”. Wydał wiele książek, w tym: *Życie pod prąd* (2001), *Wygnanie* (1998), *Wiersze wybrane* (1996), *Diabeł Żyd* (1993), *Nowy Jork – strach w raju* (1992), *Z poddasza snów* (1991).

Andrzej Dębkowski

Wiersz o człowieku

Adamowi Szyperowi

przez ile obozowych bram
przenosiła cię matka
ile baraków
ile pryczy i tragedii...

ufałeś w mleko w proszku od polskiej kobiety
i w ciepło matczyne ciała
kiedy Bóg krzepił w niej mięswo

przekleństwa rzucane na pastwę rozpaczy
łączyły ludzi

dobrze że piszesz wiersze
o murzyńskich gettach
i wietnamskich emigrantach
szukających pracy na ulicach Manhattanu
i że nie zapominasz
o niezdolnym powietrzu na Piotrkowskiej

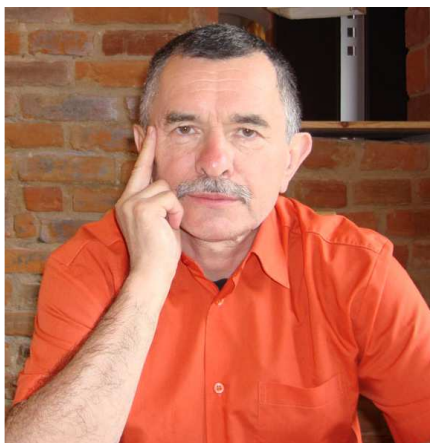
Przyjacielu z Kendall Parku
już więcej nie musisz
usprawiedliwiać swojego istnienia

Żelów, styczeń 1998 r.

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (62)

(fragmenty)



Dwa garnitury

Nie lubię garniturów. Mam to widocznie w spadku po bitnikach i hipisach z 68 roku. Zawsze wolałem dżinsy i sportowy styl od namaszczonych powagą garniturów. Paradowali w nich i do dziś chętnie paradują i przemawiają na trybunach partyjni i polityczni notable.

A może nie lubię garniturów, bo nie wy czuwam w nich swobody, poczucia humoru? Każdy garnitur lubi władzę, bezosobowy styl; garnitur czarny jest na przykład śmiertelnie poważny, mówi: słuchaj mnie, patrz, jaki jestem ważny, nie wyglądam się, żyję zgodnie z przepisami, chętnie spotykam się na konferencjach, w kościele i urzędzie z innymi garniturami, gdzie dyskutujemy, wymieniamy poglądy, modlimy się, jesteśmy punktualni, odpowiedzialni za świat.

Taki garnitur nie walnie się na trawę, ot tak, nie położy się nad rzeką na ziemię, bo mówi, że mu nie wypada popospolitować się z gołą naturą. Taki garnitur to zwykle sztywniak próbujący pokryć wrażenie, że nie ma nic własnego do powiedzenia. Taki garnitur tylko od czasu do czasu się uśmiecha. Gdy mu na przykład zawieszają na klapie odznakę zasłużonych lub krzyż walecznych.

Jednak musiałem nieco zmodyfikować ten surowy osąd, kiedy po przyjeździe do Borzęcina i przywitaniu się z mamą – usłyszałem od niej, co wymyśliła w nocy, gdy nie mogła spać... że ponieważ mnie nic nie przy padło z majątku, chce mi przynajmniej teraz dać zaoszczędzone z renty pieniądze, „żebym sobie sprawił elegancki garnitur i wyglądał jak człowiek”.

Bardzo jej na tym zależy, dodała z naci skiem.

– Mamo, przecież ja mam pieniądze – próbowałem oponować, ale kiedy zrozumiałem, że nic nie wskóram, a mogę ją tylko zasmucić oporem, uznałem, że muszę jej zrobić tę przyjemność w 94. wiośnie życia.

Na drugi dzień z tysiącem złota w portfe lu pojechaliśmy z bratem i Zofią do Tarnowa, gdzie oczywiście wpadłem w amok przymierzania, bo po pierwsze: coraz mniej szyją już garniturów na ludzi o moich napoleońskich wymiarach, a po drugie: jak już coś robię, to robię najlepiej jak umiem... Jak przymierzam, to przymierzam...

Przymierzanie trwało godzinami. Zmienia liśmy sklepy jak rękawiczki. Zmienialiśmy sprzedawczynię. Niektóre były bardzo uprzej me, dawały duże upusty, inne miały przy szywane uśmiechy i chłodne oczy. Już wyda wało się, że muszę zrezygnować z zakupu, lecz gdy wszedłem z tą myślą do ostatniego sklepu – spodobały mi się dwa garnitury: jeden jasny, drugi czarny. W obu wyglądałem nieprzyzwoicie przyzwoicie i oba były jakby na mnie uszyte. Dodatkowo – sprzedawczyni starała się być ciepła i uprzejma, tak że i jej postanowiłem przy okazji wyświadczyć drob ną przyjemnośćkę.

Wpadłem na trafną myśl.

Jeden garnitur – czarny – kupiłem przez wzgląd na mamę, drugi – jasny – kupiłem przez wzgląd na siebie. Tym samym, podejmując tak salomonową decyzję pogodziłem dwa sprzeczne interesy. Obok garniturów zakupiłem też dodatkowo trzy koszule, kra wat i skarpety, żeby sprzedawczyni też mogła się czuć spełniona. Ach, mówię wam – była to po prostu rozpusta kupowania, jaka ogarnia raz tylko w życiu takiego abnegata jak ja! Przy czym muszę się pochwalić, że wykazałem przy wybieraniu i przymierzaniu niezły gust, co przyznała mi nawet ślubna żona, a ślubne żony mają zwykle sceptyczny stosunek do smaku estetycznego mężów.

Oczywiście czekała mnie jeszcze jedna próba generalna – przymierzanie garniturów przed mamą.

Przymierzanie trwało około pół godziny i dają słowo, widziałem w oczach mojej mamy radość, że wreszcie ma mnie takiego, jakim sobie wymarzyła. Siedziała na swoim łóżku z księdzem Rydzykiem z „Radia Maryja” i z serialami brazylijskimi jako towarzyszami niedoli i oczy jej się świeciły, gdy patrzyła na syna-modela, jak paradytuje tam i z powrotem po jej izdebce – raz w czarnej, raz w jasnej garniturowej elanobawelnie.

Żeby mogła się dłużej nacieszyć garnitu rami i widzieć mnie w nich takim, jakim sobie wymarzyła – powiesiłem chytrze obydwą w jej szafie, mówiąc, że zabiorę je do Krakowa dopiero za miesiąc, gdy przyjedziemy samo chodem. Teraz widzę mamę, z odległości Krakowa, jak wstaje o świcie z łóżka i pod chodzi co rano do szafy – która stała się przez chwilę jej przystankiem Marzenie – żeby się nacieszyć widokiem synowskich garniturów i koszul w szafie. Cóż, człowiek po dziesięć dziesiątce ma już ograniczoną ilość pomysłów do sprawiania sobie radości. A ten pomysł się jej udał jak ulał. Dzięki niemu będę teraz patrzył wyrozumialszym okiem na garnitury, a kto wie, może i na polityków?

Politycy prosto spod igły socjotechników

Wszystko na pokaz, na sprzedaż, na efekt, na poklask! Najpierw robią testy, sondaże, co naród lubi, co mu przypada do gustu, a póź niej dopasowują gesty, mimikę i słowa do tych gustów, mówiąc, co należy mówić i co przyniesie wzrost popularności w sondażach. Jeden (wilk) udaje podczas przemówienia łagodną owieczkę, drugi, znany kameleon – jedyne sprawiedliwe niezłomne, trzeci – pazerny na wszystko co doczesne, udaje świętego Franciszka itd. itp.

Nic z serca, nic z prawdy, nic ze szczero ści, wszystko obliczone, wyrachowane, zamie rzone przez socjotechników łącznie z palcem premiera, który jednak wystawał mu jak słoma z butów podczas ostatniego orędzia do narodu, a wystawał, ponieważ premier nie opanował jeszcze do perfekcji właściwego układu rąk i gestykulacji mającej wyrażać jego otwartość i życzliwość wobec innych.

Politycy prosto spod igły socjotechników.

Zwyczajna kolej rzeczy

Wszyscy ci, których pociąga polityka, ma ją dusze skrojone na podobną miarę i skalę. Najpierw są biednymi, wychudzonymi rewolucjonistami z gębami pełnymi ideałów i hasel równościowych. W skrytości ducha marzy im się jedno, żeby obalić tych, co na górze, po wywracać do góry nogami ich stolce, fotele, funkcje i tytuły. Potem, gdy im się to już uda – przymierzają się sami do owych stołców, foteli i tytułów, przeglądają w zwierciadłach władzy, konstatają, że owszem jest im do twarzy, obrastają w piórka urzędów, dzielą się łupami jako zwycięzcy, patrząc z góry na tych, co na dole i powoli... tracą ich z oczu. Jeszcze chwila i przemienia się w brzuchaczy, kraso mówców, żywe pomniki władzy z głowami w chmurach, upodobnione do tych, z którymi walczyli.

Okopani w willach, pałacach, zamkach, fortecach mają oczywiście w dalszym ciągu gębę pełną ideałów i hasel równościowych, w które po staremu wierzą, nawet nie zauważając, że tymczasem przeistoczyły się w puste frazesy.

Dostrzegają to wyraźnie ci na dole; biedni i wygłodzeni młodzi rewolucjoniści z gębami pełnymi ideałów i hasel równościowych, którzy szykują się właśnie do skoku...

cdn.



Poezja pisana „skalpelem wiersza”

Andrzej Hładki debiutował jako poeta na początku lat 90. XX wieku, uczestnicząc w wielu inicjatywach literackich środowiska medycznego w środowisku krakowskim, ale i ogólnopolskim. Fakt, że praktykujący lekarz pisze utwory literackie nie jest przypadkiem, bo ta profesja zakłada powołanie zawodowe, które m.in. wyraża się w szczególnej wrażliwości na losy człowieka, wartość i jakość jego życia, a pozytywny klimat duchowy w sposób szczególny wspomaga pracę lekarza z pacjentem, czego świadomość ma większa część przedstawicieli tego zawodu, określanego mianem „szczególnej troski społecznej”. Kim zatem jest Andrzej Hładki jako przedstawiciel medycznego środowiska literackiego? Przede wszystkim jest autorem trzech wartościowych tomów poezji: „Sprzedawca mandarynek” (1992), „Opowiem Ci. Wiersze” (2010) oraz „W podróży” (2014). Jego utwory były również zamieszczane 12-krotnie w wydawnictwach zbiorowych, almanachach m.in. sygnowanych przez Polskiej Unię Pisarzy Lekarzy oraz w wydawnictwie Światowej Unii Pisarzy Lekarzy. W latach 1999–2003 był Członkiem Zarządu PUPPL, a od roku 2014 został wybrany na Prezesa Zarządu Głównego UPPL na 4-letnią kadencję. Jako osoba uczona opublikował również 8 książek z dziedziny medycyny oraz 270 publikacji naukowych.

Jeśli idzie o wartość jego dorobku literacki – to postaramy się je ukazać w oparciu o krótką analizę jego utworów zawartych we wcześniejszym wzmiankowanym tomiku. Zbiorek debiutancki – „Sprzedawca pomarańczy” – to autentyczne utwory pisane zgodnie z zasadą, że my ludzie, a więc i sam poeta, jesteśmy przez całe swoje życie „chorzy na miłość”, bez której traci ono sens i nawet zdrowi czujemy się jak chorzy pacjenci, potrzebujący owego emocjonalnego wsparcia, które nas witalnie i duchowo odbudowuje. W utworze pt. „Niemi w Ciemnościach” poeta zwraca uwagę na ów pierwotny komunikat wyrażający miłość, czyli dotyk, którym matka wprowadza nas z wieku płodu i dzieciństwa ku światu naszej dorosłości, a co przez całą naszą egzystencję jest warunkiem koniecznym naszej pomysłowości w nim istnieniu. Hładki pisze więc: „W ciemności i ciszy / niemi i ociemniałi / tulimy się do siebie. / Twoje dłonie mówią do mnie. / Odczytuję ich każdy dotyk. / Ta rozmowa zniewala mnie, rozbrzmiewa we mnie echem, (...) / Jestem wiernym twoim słuchaczem, wrażliwym na każde słowo. Jakież proste nasz język, / jakież łatwe nasze zrozumienie.”

Pewnie poeta-lekarz nie zna koncepcji polifonicznej komunikowania szkoły Palo Alto, ale jego powołanie zawodowe i długoletnie doświadczenia z chorymi, często ekstremalne, ukazują tę właśnie prawdę, często

trudną do zwerbalizowania, że właśnie w języku dotyku (zapomnianym języku) docieramy do prawdy o człowieku i jego świecie społecznym, że właśnie owym pierwotnym uczuciem budującym jego człowieczeństwo, współistnienie z innymi, ale i przyrodą jest miłość, która pozwala go postrzegać w sposób godny i autonomiczny. Miłość ta ujawnia się w swej pierwotnej formie w najbliższej rodzinie (do żony, córki), by potem otwierać poetę-lekarza na cały świat. W wierszu pt. „Świt” ów dramat transformacji tego uczucia zostaje tak oto przedstawiony: „...Leżę przy Tobie / po dalekim locie do gwiazd. // Za oknem budują szubienicę. / Świt niedaleko. / Za chwilę... / zostanę ptakiem”.

Tak nasycony uczuciem, Hładki bada jego transcendentne ścieżki, ale i dziejowe ślady. Najpierw obserwuje jego potrzebę u swych pacjentów walczących z chorobami, niekiedy z nimi pogodzonych i widzi wtedy, że nawet ich rezygnacja i osamotnienie w cierpieniu ma również znamiona miłości. Podróżując po Europie i świecie, zwiedzając pomniki różnych kultur dyskursem wiersza rozpoznaje, że miłość i kochanie nie były i nie są sprawą prostą i łatwą, ale wymagają ogromnego zaangażowania, odwagi, a nawet ocierania się o śmierć. Świat bowiem coraz bardziej potrzebuje miłości, nękania wojnami, zbrodniami, głodem i przemocą w każdym ludzkim istnieniu ujawnia ów deficyt tego uczucia. Jako lekarz widzi to na każdym kroku, kiedy swą służbą drugiemu człowiekowi stara się tym ludziom jakoś medycznie pomóc, choć ma już świadomość, że żywienie w tych drastycznych przypadkach miłości, jest obowiązkiem lekarza-poety. U podłoża wszystkich tych utworów postrzega ową heraklitemską „rzekę przemijania”, którą uświadamiają mu rośliny, zwierzęta, ale i ludzie poddający swe życie dyktaturze pór roku, w różnych klimatach zróżnicowanych geograficznie, mających różnorakie przejawy. U podstawy ich przemijania ukazuje się poecie owa podstawowa metafizyczna zasada życia, czyli dążenie do harmonii, która dla swej wszechwładzy koniecznie potrzebuje „siły miłości”, by przeciwstawiać się skutecznie „siłom nienawiści”. Dobrze klimat tych wierszy oddaje utwór pt. „Zbawienie w Benares” (Indie), gdzie poeta pisze: „Skuleni, w bezruchu / oczekują wybawienia / od głodu, bólu / i ciała. / Potem przemijają cicho / z żarem palonych kości / i gęstym mdłym dymem. / Bez nagrobnej tabliczki – / śladu istnienia / spływają świętą rzeką, / szarym prochem / ...droga do nirwany”.

Drugi tomik Hładkiego – „Opowiem Ci wiersz” jest pokłosiem jego podróży (Chiny, Peru, USA) związanych z wykonywanym zawodem, w czasie których „skalpelem wiersza” bada porządku duchowe świata ludzkiego, wychodząc ze swojego „punktu wyjścia”, jakim jest dla niego klimat Krakowa oraz klinika przy ul. Kopernika. Tomik zatem składa się z dwóch części: „Blżej” i „Dalej”,

co jakoś ukazuje jego tożsamość twórczą jako lekarza, ale i poety zarazem. Wiersze w tym tomiku ogniskują się wokół podstawowych ludzkich uczuć: nadziei, pragnienia miłości, dążenia do poszukiwania osobistego edenu, którym zawsze towarzyszy poczucie egzystencjalnego strachu, niepokoju, nieuniknionego bólu i cierpienia. Poeta ma w sobie poczucie jakiegoś głębokiego poczucia obowiązku, by nie przegrywać ze światem owego przemijania, ale by starać się w nim kreatywnie uczestniczyć. Takim punktem odniesienia jest dla niego ulica Kopernika w Krakowie, jego miejsce pracy, przysłowiowa Alfa i Omega jego życia, gdzie wszystko się kończy i zaczyna, bo profesja jego powoduje, że nieustannie jest „bytem spieszonym” – owym *homo viator*. Dla niego wędrówka pomiędzy ludźmi po całym świecie staje się normą, nadającą namacalny sens własnemu istnieniu. Spotyka na niej nie tylko ludzi, inne istoty żywe, których piękno go fascynuje, ułatwia wysiłek egzystencjalny, ale i nawet doświadcza w chwilach zwątpienia samej „obecności bożej”, transcendentnie jakby dodającej mu siły i potwierdzenia w sens jego wysiłku lekarskiego, ale i literackiego. W utworze pt. „Ulica” dowiadujemy się: „znacze swoje życie / stopklatkami dyżurów / w klinice / domu / gdzie słowem spojrzania / nieobecnych profesorów / przypominają słowa przysięgi / oglądam za oknem / ten sam widok ulicy / która starzeje się / wraz ze mną / (...) / z błędnej nocy / ciągle świeże kwiaty / wyrastają prosto z chodnika / brama w kościelnym murze / zaprasza w chwilach zwątpienia / kiedyś chciałem przejść / tą ulicą przez życie / jestem w drodze”.

Hładkiemu nie jest obce doświadczenia życia człowieka jako tego przysłowiowego „upadłego anioła” i dlatego zdaje sobie sprawę, że dopóki można iść do przodu, należy każdemu krokowi owej „osobistej drogi” nadawać sens istnienia „najwyższej próby”, bo przecież złożona przysięga zobowiązuje nawet w chwilach największej słabości. Patrząc w przeszłość już wie, że wybrał właściwą drogę, bo dotychczasowe doświadczenia zawodowe przepełniają go nieklamana satysfakcją i nieustannie rozwijają jego osobistego ducha życia, który narzuca mu kolejne bariery do przekroczenia, gdyż tego wymaga od niego ów „cud istnienia”, jakim jest właśnie każde jednostkowe życie. Rozumie również, że niekiedy, by to w pełni zrozumieć, „dobrze czasem / tylko być / nikim być”, bo przecież sztuka życia uczy nie tylko godziwości jego przemijania, ale i stanowi pouczającą lekcję fenomenu umierania, które należy do jego porządku bytowego – od urodzenia aż do samej śmierci, w które wpisana jest ta wszechogarniająca logika przemijania, towarzysząca wszelkiemu istnieniu, spychającemu nas na nią od owego „Wielkiego Wybuchu”. My – żyjący płyniemy zawsze „w jedna stro-

(Dokończenie na stronie 18)

Poezja pisana „skalpelem wiersza”

(Dokończenie ze strony 17)

nę”, bo taki jest tytuł jednego z wierszy poety, w którym m.in. pisze: „(...) z bukietem kwiatów / na żywnych szybach / przemierzamy dni pociągami / bez specjalnego nadzoru / na scenie życia / oglądamy nowe spektakle / zbliżamy się do finału / nie znając jego miejsca i czasu”.

Druga części tego tomiku – „Dalej” – to reminiscencyjne raporty autora z licznych podróży po świecie, w którym w duchu liryczno-egzystencjalnym zostają przedstawione jego przeżycia estetyczne. Wplatając w nie uroki przyrody oraz wspomnienia o wybitnych ludziach, którzy tam mieszkają lub żyli, Hładki opisuje: Monte Godinne, ogród w Annevoie, Łopuszną z „kamieniem filozoficznym” Józefa Tischnera w tle, Krasnobród, Korfu, Acharawi, Xian, klasztor Wa Nian w prowincji Seczuan, miasto Lijang, Bambusową Świątynię Kunming, Ogród Mistrza Sieci w Suzhou, Arequipa i Altiplano w Peru, ale i Titicaca, Machu Picchu w Cusco, Drzewo Jozuego na pustyni Mojave, Wielki Kanion w Kolorado, Kanion Bryce a, Yosemite w Sierra Nevada, czy Golden Gate w San Francisco. Wszystkie te utwory układają się w oryginalną próbę dekodowania śladów tamtejszych kultur wyrosłych z piękna przyrody, ale i pomysłowości ludzi tam żyjących.

Trzeci tomik Hładkiego – „W Podróży” – to kontynuacja drugiej części poprzedniego, w którym autor w duchu poezji stanowiącej dla niego olśnienie, będąc jednocześnie źródłem nowych doznań i nowego poznania tych miejsc, wzbogacających jego osobista wiedzę o świecie, daną mu autotelicznie. Te doznania i owo poznawanie stanowią odskocznnię poetycką poety-lekarza w stosunku do reżimu przysłowiowej „prozy życia” zawodowego pomieszanego z codziennością. To, co wyróżnia te utwory uzupełniane ciekawymi fotografiami autora, to skrupulatność analizy miejsc i ludzi, którzy go inspirują, a co jest widziane tu „okiem impresjonisty” dającym im nowy wymiar i to wieloestetyczny, mocno przykuwający nie tylko słuch, ale i wzrok czytelnika. Mówiąc prościej – te utwory poetyckie są dynamiczne w wymiarze plastycznym i przypominają jakby filmy, które można „wyświetlić sobie” po zamknięciu oczu we własnej głowie. Dobrze ilustruje to wiersz pt. „Koloniam Sacramento” napisany w Urugwaju, poprzedzony kolorowym zdjęciem muru i drzew owocowych ją otaczający. Autor pisze o niej tak: „kamienna brama/zaprasza drewnianym mostem/ciekawe spojrzenia/zaspiane domy / otwierają leniwie / szklane powieki / rozćwierkany poranek / przegania ostatniego żeglarza / z uliczki westchnień / nowy dzień / sączy yerba mate /

w zielonym patio / czekając daremnie / bicia dzwonu / u Świętego Franciszka”.

Wiersze te powstały w takich częściach świata jak; Nowa Zelandia, Australia, Egipt, Tanzania, Zanzibar, Czechy, Urugwaj, Argentyna, Chile, Boliwia, Włoch, Tunezja, Portugalia, i są kilkakrotnie przeplatane reminiscencjami z Krakowa, stanowiącym nierzadko pointę autora do „bycia człowieka” bytem pozostającym nieustannie w drodze, widzącym ostro podstawowe problemu człowieka we współczesnym świecie, a mianowicie „kwestii głodu”. Może dobrze tę kwestię widać w wierszu kończącym ten tomik pt. „Kromka chleba”: „żał kromki chleba / porzuconej niespełnionej / posmarowanej samotnością / wyschłej z tęsknoty / za utracionym smakiem / ziarna kłosów / rozłartanych na proch / ciasta pachnącego / w wygłodniałych oczach / za chwilę ostatniej wieczerzy / by stać się ciałem / za nas wydanym”.

Nie trudno zauważyć, że pod względem artystycznym poezja Hładkiego nosi znamiona dobrze warsztatowo tworzonej literatury, zarówno pod względem wersyfikacji, metaforyki, ale i precyzyjności przekładania emocji oraz uczuć na dyskurs poetycki. To niewątpliwie liryki, trochę skierowane ku jednostkowej miłości erotycznej, ale i typu *caritas*, czyli drugiego człowieka bez wyjątku, która z perspektywy wykonywanej profesji lekarza pozwala autorowi sięgać w głąb tajemnicy jednostkowej życia człowieka nie tylko w cywilizacji europejskiej, ale i na całym świecie, jak również w jego kosmiczny wymiar. Ważnym elementem tej poezji są próby wkomponowania naszego człowieczeństwa we wszechogarniający nas porządek natury, do którego poeta próbuje dobudować odpowiedni porządek duchowy i aksjologiczny, harmonijnie z nim korespondujący, by różne imiona miłości mogły się w świecie urzeczywistnić. Warto sięgać po te tomiki krakowskiego poety, bo są w stanie zaspokoić oczekiwania wytrawnych czytelników poezji!

prof. Ignacy S. Fiut

W.A. Hładki, *Sprzedawca mandarynek*, Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, Kraków 1996, s. 64,

W.A. Hładki, *Opowiem Ci. Wiersze*, Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, Kraków 2010, s. 66.

W.A. Hładki, *W podróży*, fotografie z archiwum autora, Wydawnictwo Miniatura, s. 72.

Zegarmistrz światła zainspirowane felietoematem „Ucieczka” Andrzeja Bartyńskiego

Miesiąc w miesiąc czekam z ogromnym zainteresowaniem na cykliczne teksty w „Gazecie Kulturalnej” naszego, jedyne go w swoim rodzaju, wrocławskiego poety zwane-

go nie bez kozery Homerem ze Lwowa. On sam – uznany przecież mistrz słowa i wyobraźni – wytworzył w nich pewną nową, swoistą formę ekspresji literackiej, którą nasz wspólny przyjaciel, nieoceniony poeta i dramaturg Henryk Gała nazwał fantazyjnie *felietoematami*. A samo jej powstanie, jako nieznaną dotąd formę literacką, Gała uzasadnia niespotykanym w jego odczuciu połączeniem felietonu, teatru i poematu. Nie wiem dziś na ile przyjmie się w literaturze ta terminologia. Wiem jednak jedno, najistotniejsze, że teksty te niosą w sobie potężną dawkę emocji, wrażliwości, próby uchwycenia ducha naszych czasów oraz zaproszenia czytelnika w wyjątkowy świat – jak już niegdyś wspominałem – świat poety z urodzenia, jakim niewątpliwie jest Andrzej Bartyński.

Wiem też, że Jego *salon mych myśli*, w którym toczy się ta przewrotna gra zwana życiem, jest pełen ciepła, przyjaźni, pozytywnych wibracji oraz poruszająco opisanych zmysłowych fascynacji. Bogactwo tego świata jest jakby zwielokrotnione kalectwem artysty – Jego przejmującą niepełnosprawnością (jest bowiem poetą od dziewiętego roku życia niewidomym), którą to uczynił, przekształcił i zamienił w jak najpełniejszą umysłu sprawność, w jak najgłębszą umysłu duchowość i w jakże niesamowity świat intelektualny. Do tego jeszcze Andrzej Bartyński traktuje los z wytworną elegancją i pełną subtelności dyskrecją, nie emanuje swoją innością, lecz poprzez poezję czyni z niej oręż tak potężny, iż zdawałoby się jest on nie do ogarnięcia innym artystom, których zmysły siłą rzeczy zawsze będą trochę niepełne, jakby usytuowane o jeden wymiar niżej, o jeden most bliżej i o całą gamę doznań mniej. Bartyński porusza się w obszarze myśli i nieskrępowanej wyobraźni, a to powoduje, że czytelnik bywa zapraszany w świat niedostępny. W świat – salon, jakże odmienny od znanych nam salonów artystycznych. Jest to bowiem salon, do którego wstęp możemy nabyć tylko poprzez Słowo. Poprzez tego słowa uwznioślenie do rangi świętości – do rangi jedyne go klucza odkrywanych tajemnic.

Tajemnic tych Bartyński chce nam odkryć wiele. Jego bohaterowie zasiadają zawsze przy okrągłym stole. Pełni są ukrytych znać, poetyckiej symboliki oraz niesamowitych kontekstów. Kształtują relacje na strunach metafor i częstokroć jakże dosadnie komentują obserwowalną rzeczywistość z perspektyw całego bagażu doświadczeń Artysty. Ta rzeczywistość zawsze jednak opisywana jest z mądrym dystansem, z nutą oddalenia i z lotu ptaka. Poeta bowiem widzi więcej, czuje mocniej i przeżywa dogłębniej. Poeta ma tę zdolność – nieszczęsna jakże – oglądu świata przez przyrządy piękna, a nie brudu, który mu towarzyszy od zarania dziejów. Poeta, by tworzyć, musi się zatem oczyszczać – a tak powołany do życia, „salon Jego myśli” – może zarówno nam, jak i Pocię

tylko w tym pomóc. Poprzez oczyszczenie bowiem możemy nauczyć się latać. A jaki sens miałyby nasze życie bez tej umiejętności?

Poeta Andrzej Bartyński miał wiele szczęścia. Oprócz „sztuki latania” udało mu się „spotkać anioła”. Nie każdemu się to udaje.

*A Ty przyszłaś jak anioł codzienności
Ja otworzyłem Tobie drzwi
i teraz jesteś moim każdym dniem
Czerwoną różą w dłoni serca*

Krzysia Bartyńska stała się oczami Poety, stała się każdym dniem i czerwoną różą, stała się niezbędnością i największą miłością. Oddechem i sensem. Od tej chwili, od chwili „spotkania anioła” mogą już „uciekać” razem... Krzysia bowiem rozświetliła noc. Ma chyba w sobie też... coś z Zegarmistrza.

Ostatni tekst Bartyńskiego zatytułowany „Ucieczka” jest wyjątkowy. Odsłania nam kulisy losu. Może nawet przeznaczenia. A to za sprawą monodramu Mieczysławy Kaut-Wazacz *Miasto ocalałych* w reżyserii Heleny Kaut-Howson oraz w znakomitej interpretacji aktorskiej Marty Zięby na scenie kameralnej Teatru Polskiego we Wrocławiu. Do notek biograficznych obydwu wyjątkowych Pań odsyłam do tekstu Andrzeja.

Miasto ocalałych to historia dojrzewania w świecie przesiedleńców i ocalonych w pierwszych latach powojennych we Wrocławiu. Rzeczywistość widziana oczyma dorastającej dziewczynki. *Miasto ocalałych* oparto na autentycznych losach pierwszej fali osiedleńczej na Ziemiach Odzyskanych, losach sięgających przeszłości i rzutujących na czasy obecne. Skorupka dzieciństwa versus dojrzałość i starość. Koegzystencja tych biegunów w życiu człowieka we Wrocławiu nabiera jedyne w swoim rodzaju charakteru, bo tradycje i obyczaje przysły do Wrocławia z zewnątrz z nowymi mieszkańcami, kreując to miasto na swojego rodzaju symbol powojennej Europy.

Dla naszego Homera ze Lwowa ta sztuka, ten temat i ta poruszająca historia to było coś więcej niż tylko kolejny dramat w magicznej przestrzeni teatru. To była pigułka z życiem – całym Jego życiem – pokruszona na drobne i wypita całą duszą. To była zarówno podróż sentymentalna jak i... syndrom ucieczki. Wszyscy przecież zawsze gdzieś, od czegoś uciekamy. Uciekamy nawet czasami od siebie samych. Uciekamy – bo chcemy, bo musimy, bo tak wypadło. A sztuką życia jest sztuka powrotu. Sztuka zrozumienia konieczności Upadku i możliwości... podnoszenia się.

Ucieczka

*czarny kot nocy i biały pies dnia
stoją przy sobie przed sklepem zegarmistrza
a niewidomy poeta przed sklepem
zegarmistrza
słowo widzi jedno – czas
i tak będzie wszystko jedno*

*ani jasno ani ciemno
gdy czarny kot nocy, gdy biały pies dnia
z czasem kiedyś uciekną*

Otóż nie, Drogi Poeto, nie będzie „wszystko jedno”, kiedy kot nocy i pies dnia, z czasem, kiedyś uciekną... Życie wydaje się tylko czarnobiałe, a Zegarmistrz nie jest Istotą naszym umysłem dającą się ogarnąć. Koty i psy uciekają. Ludzie odchodzą. Inni pozostają... i pamiętają. O ludziach, kotach, psach i ich słowach, myślach, dziełach, uczuciach, tęsknotach, relacjach, o dobroci... Pamiętają i są tą pamięcią inspirowani, pamiętają i żyją, aby pamiętać. Pamiętają, a ta pamięć, to wszystko co posiadają. To całokształt. Jesteśmy tym – co pamiętamy.

A Zegarmistrz? Być może jest owym Strażnikiem tej Pamięci. Tej pamięci, dzięki której możemy dalej żyć. I dzięki niej nigdy nie jest wszystko jedno. I nigdy nie będzie. Niewidomy poeta jednak coś widzi. Widzi słowo. Widzi czas. I widzi Zegarmistrza Światła, który ten świat rozświetla – czasem, słowem i nawet poetami. Pod sierścią nocy jest zawsze bowiem nadzieja przytulenia kolejnego dnia. Żyjemy tu i teraz. Nie uciekamy.

W imię świata, naszej przyjaźni i naszej jakże trudnej, jakże wymagającej i wielokrotnie niewdzięcznej namiętności – Poezji.

A na koniec powiem za polskim poetą, malarzem i grafikiem Bogdanem Chorążukiem (wspomnijmy też wykonawcę tego utworu – Tadeusza Woźniaka – muzyka, kompozytora i wokalistę); otóż Bogdan Chorążuk napisał ponad czterdzieści lat temu... przepiękną piosenkę ...

*A kiedy przyjdzie także po mnie
Zegarmistrz światła purpurowy
By mi zabełtać błękit w głowie
To będę jasny i gotowy*

*Spłyną przeze mnie dni na przestrzał
Zgasną podłogi i powietrza
Na wszystko jeszcze raz popatrzę
I pójdę nie wiem gdzie – na zawsze.*

Andrzej Walter

„Czarownica w sypialni” Renaty Blicharz

Ona i on. Ona bardzo świadoma swoich pragnień czeka półnaga na plaży. On dla niej potrafi zejść ze statku i po kręgach światła przejść na ląd. Jest noc, gdzieś między chmurami zawieszony księżyc. Czy można chcieć jeszcze więcej?

Taki obraz, pełen nasyconych barw

wprowadza do równie intensywnego świata wierszy. Jego autor, mistrz szkoły polskiego plakatu, Rafał Olbiński stworzył pełną liryki sytuację pomiędzy kobietą i mężczyzną. Jej wymowa materializuje się wewnątrz tomiku wierszy „Czarownica w sypialni” Renaty Blicharz.

Zbiór wierszy autorstwa Renaty Blicharz wprowadza do bardzo intymnego świata, którego moderatorem jest kobieta. Pewna swych pragnień, poszukująca miłości. Warto w tym miejscu przypomnieć, że wiersze są szczególnie ważnym „głosem” wyrażającym przeżycia wewnętrzne. I ma się wrażenie, że poetka doskonale wie, jak należy się nim posługiwać. A świadczą o tym, nie tylko różnorodne środki artystyczne, szczególnie metafory, symbolika, ale także zastosowana kompozycja.

Towarzyszy mi przekonanie, że poetka powoli tworzy własny model poezji erotycznej. Wiersze z tego tomiku mają jedną wyrazistą cechę wspólną, a jest nią sposób odczuwania podmiotu lirycznego. W tym przypadku jest nim – kobieta-czarownica, umiejąca jasno wyrazić to, co przeżywa, co czuje. Np. „(...) te wszystkie lata nie są niczym innym jak tylko siecią / utkaną z miliona pułapek / naszych codzienności i niecodzienności / kradzionych noc / w którą jesteśmy wplątani – / właściwie bez odwrotu (...)” („Alchemia II. Uwięzieni przez noc”).

Poetka tworzy też charakterystyczną dla siebie stylizację. Przede wszystkim niektóre erotyki są kierowane do określonego mężczyzny i kojarzą się z formą listów. „Patrzysz na mnie nieczułym okiem ryby / i od tego spojrzania / moja skóra przybiera chłód rybiej łuski (...)” („Powrót z wyspy”).

Posiadają swoją wewnętrzną dramaturgię. Poprzez sytuacje intymne obrazują wzajemne relacje pomiędzy kochankami, ich oczekiwania, rozczarowania, a także jak silnie zaznaczają swoją obecność stereotypy. Fizyczność partnerów odgrywa jednak większą rolę i wypiera przemyślenia. Przeżywane uczucia są subtelne, miękkie, niemal jedwabiste, ale pod warstwą delikatnie brzmiących epitetów i wysublimowanych metafor kryją się niekiedy bardzo silne, namiętne uczucia.

Czytelniczkom spodoba się z pewnością norma intymności, jaką proponuje poetka. Amplituda wahań opisywanych sytuacji erotycznych jest wprost imponująca. Tu nie ma mowy o jakiegokolwiek wstydlivosti przeżywanych emocji i pożądania. Wręcz przeciwnie. Kobieta, która o nich opowiada, jest w pełni świadoma swoich pragnień. „Opalam się / wyciągam na słońcu / przeciągam się / leniwie i słodko / Dla ciebie patrzącego / na moje ledwo odziane ciało / jestem w tym momencie / wszystkim / czego teraz pragniesz (...)” („Wszystko. Polana nad rzeką”). A do tego jest szczęśliwa, bo przeżywa je bez

(Dokończenie na stronie 20)

„Czarownica w sypialni” Renaty Blicharz

(Dokończenie ze strony 19)

żadnych ograniczeń. Tak wyrażane przez podmiot liryczny przeżycia posiadają w sobie bardzo dużą moc uczuć.

Na uwagę zasługuje też miejsce podmiotu lirycznego, który jest przecież najważniejszą częścią budująca całą strukturę w erotykach Renaty Blicharz. Jest nim niewątpliwie tytułowa czarownica, która wypowiadając się, wymaga odpowiedniej motywacji. A z kolei motywację wywołuje określona sytuacja. A jest nią, w erotykach Blicharz sytuacja wyznania. „I znów usiadziemy naprzeciwko siebie... / między nami będą tylko krochmalone prześcieradła / ze wszystkimi tajemnicami z przeszłości / i z wielką niewiadomą / tego co stanie się za chwilę (...)”.

Takie bezpośrednie wyznania w obecności drugiej osoby i w określonych okolicznościach są bardzo charakterystycznym elementem w tomiku „Czarownica w sypialni”. Muszę przyznać, że poetka w znakomity wręcz sposób stosuje ten czynnik konstrukcyjny, uzyskując dzięki temu różnorodnie skomponowane kontakty między jednym człowiekiem a drugim. Konkretnie, pomiędzy kobietą a mężczyzną. A są to sytuacje bardzo różnorodne. W jednych objawiają odmienności emocjonalne pomiędzy kochankami, ich pragnienia i potrzeby. Inne demaskują niepożądane zachowania. Jeszcze inne służą do bardzo wyraźnego sygnalizowania zachowań kochanka. Ale to dzięki nim poetka stwarza określony model kobiety i mężczyzny. Świadomej swego ciała kochanki, wsłuchującej się w jego mowę i nie bojącej się realizowania swych najskrytszych pragnień. Tylko dlaczego nazywa ją czarownicą? A czy miłość w sferze emocjonalnej i fizycznej jest wolna od magii? Od czarów? Wobec tego, jakimi narzędziami posługuje się czarownica w sypialni? Ziołami, zaklęciami? Nie, ona wykorzystuje magię swojego ciała, zawartą w smaku pocałunków, w spojrzeniu, w krągłości bioder... Tym uwodzi swego kochanka.

A jaki rodzaj magii służy poetce Renacie Blicharz? Piękny, subtelny język, oryginalne środki poetyckie, wyobrażenia twórcza oraz emocje.

Ilona Słojewska

Renata Blicharz, „Czarownica w sypialni. Wiersze miłosne i inne”. Redakcja literacka: Mirosław Pisarkiewicz. Ilustracja na okładce: Rafał Olbiński. Opracowanie graficzne: Piotr Mnich. Wydawnictwo: NOWIK, Opole 2015, s. 80.

Materiał pochodzi z portalu:
www.przystan-literacka.pl

Andrzej Walter

Oczy szeroko zamknięte

Każdego dnia spotykasz ludzi. Krzyżują się spojrzenia. Krzyżują się codzienności rozkrzewiają się i krzywdzą, brudne litości, niechciane prezenty, podpisy na fejsie, banalne komentarze.

korki na drogach, brzemienno raj, radio wnet, cała ta sieć wyzwoleń.
Gra namiętności.

Noc
krzyżuje się
ze świtem, potem świt krzyżuje się ze snami
następnie rozpoczyna się szary proces produkcji.
I początek.
Poruszenie
Klatka po klatce. Kadra za kadrem.
Kołowrót pulsarów.
Dynamika zdarzeń
małpa pe El.
Skrzynki pełne powinności.

Życie krzyżuje się
na granicy spojrzeń. W momencie zero. W ciszy.
W spotkaniu
bez oczu
bez empatii
i tych, jakże niezbędnych, ukrzyżowań.

Życie jest pestką.

Wkładasz ją w ziemię,
a w głębi nocy,
podlewasz.

Kiedy kielkuje,
dziwisz się,
że tak wzrasta
napromieniowana miłość.
Bezdotykowa.

Relacje manekinów

mówisz do mnie
skrótom nieświeżych myśli
zatapiasz wzrok
w horyzont głodu zamiast spojrzeć w oczy
żywym oczom

zamiast okazać wykazujesz zamiast rodzic
unicestwiasz
ślinisz zamiast otwierać zatraskujesz zamiast iść
na zewnątrz i wewnątrz w lepkości rąk
zmierzasz wyssać krew

mówisz do mnie
o wolności
ale to krócej niż oddech co znika
bez pary minus dziesięć minus życie
minus marzenia
zima kurczy się hibernując los

zamiast uciekać zamieniasz się
w sopel

który uśmierca spadając z nieba
prosto w mechaniczny mózg w mój gorący
mózg
rozbity mózg
mózg bezbronny
jak szkło

Punkt odniesień

możecie mnie nie słuchać
nawet powinniście
ostatecznie trudno dziś mieć coś ważnego
do powiedzenia
przecież wszystko już było
i jest wszystko jedno
miłość wiara nadzieja
los przypadek podniety
a nawet kalectwo ułaskawione
higieną dla naiwnych

wędruj sobie
i mówię do lustra
które milczy
zgodnie z jego naturą

poskapiłaś nam mas ludu żądał nawet fali czy
szmeru czy godności
i powagi wspomnień

wydarłaś nam luźne kartki które podnieśliśmy
z ziemi
czarne jak miód
gotowe na ból
zapisane ersatzem

nadal kusisz idealnym ciałem
gotowa na seks
za niewielkie pieniądze

ale ja pieniędzy nie mam
duszy nie mam
oczy za szkłem nie widzą
nie słyszą
nie czują

z ziemi wyrasta
sztuczna erekcja

Sfromatowani

zmęczeni sukcesem
relatywiści jutra
trenują uśmiechy
zażywane na zapas

czyszczą genitalia
wodą zimną
zalewają miejsca zbrodni
ego
kurczą do súpka
(ogładalności)

krawaty czernią twarze
szpecą złudzenia
swawolną
wylęgarnią cudów

Filozofia codzienności (109)



Wyróżnik człowieczeństwa

Od zarania dziejów filozofii pojawiło się pytanie o to, czym różni się człowiek od innych istot żywych. W starożytności wskazywano na **rozum** jako właściwość swoiście ludzką. Pogląd ten, rozwinięty przez Arystotelesa, ma również i w naszych czasach swoich zwolenników. W średniowieczu niepowtarzalną właściwość człowieka upatrywano w **nieśmiertelnej duszy**, godząc ten pogląd z wyżej wymienionym. Począwszy od XIX wieku, narasta liczba zwolenników poglądu, w myśl którego swoistą właściwością człowieka jest **tworzenie kultury**. Śladów świata kultury nie odnajduje się ani w świecie zwierząt, ani w świecie roślin. Zwolennicy tego ostatniego stanowiska podkreślają, że inteligencją odznacza się nie tylko człowiek, lecz również zwierzęta, a zwłaszcza na przykład delfiny i świnie. A więc rozum ich zdaniem nie powinien zostać uznany za znanie człowieka. W tworzeniu kultury zaangażowane są także uczucia, doznania, wyobraźnia człowieka – a więc nie tylko sfera intelektualna.

Uznając duszę jako wyróżnik człowieczeństwa, twierdzi się zarazem, że człowiek jest doskonalszy niż zwierzęta i rośliny. Natomiast głosząc, że zdolność do twórczości kulturowej decyduje o odmienności ludzi i ich swoistej niepowtarzalności – nie stwierdza się, by człowiek był lepszy od zwierząt. W myśl tego poglądu jesteśmy **inni**, ale to nie znaczy, że **lepsi**. Połowa XX wieku przyniosła jeszcze inny pogląd na swoistą właściwość człowieka, ale nie przekreślił on wyżej wymienionych stanowisk. Wskazano na **godność** człowieka.

Karta Narodów Zjednoczonych odwołuje się do godności człowieka, by podać to jako przykład. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka stwierdza, że przyrodzona nam godność stanowi podstawę wolności, sprawiedliwości i pokoju. Pisał o tym problemie obszernie w swoich dziełach Lech Antonicz. Według tego profesora nie wystarczy powiedzieć, że „...elementami określającymi godność człowieka są rozum, sumienie i wolność”. Bardziej przydatne z omawianego punktu widzenia jest stwierdzenie, że godność człowieka jest wartością przyrodzoną i powszechną, że przymiotem godności jest

niezbywalność i trwałość i że ma ona charakter dynamiczny. Szczególnie cenne jest natomiast wskazanie na wyraźną różnicę zachodzącą między godnością osobowościową i godnością osobową. O godności osobowościowej decyduje doskonałość osiągnięta w rezultacie działania moralnie wartościowego i utrwalona w charakterze jakiegoś człowieka. Natomiast godność osobowa jest wartością przysługującą wszystkim ludziom”.

Ochrona godności człowieka należy do systemów prawnych. Traktuje się ją jako przyrodzoną właściwość człowieka, która jest tym samym niezbywalna. Nie ma wątpliwości co do tego, że najpoważniejszym zagrożeniem dla godności człowieka są wojny, a zwłaszcza używanie broni jądrowej. Likwidacja środków masowego rażenia jest sprawą pilną, ale nie wystarczającą, by zapewnić pokój.

Nie wydaje mi się, by trafne było utożsamianie godności z honorem. Poczucie honoru nie charakteryzuje bowiem każdego przedstawiciela rodu ludzkiego. Godność natomiast ma być według jednego z przytoczonych wyżej poglądów czymś, co jest znamienne dla człowieka. Godności nie wyrabia się w sobie, lecz się ją posiada.

Natomiast poczucie honoru przybiera różne poziomy i niezbędny jest wysiłek, by wyrabiać to poczucie. Poczucie honoru jest wartością elitarną, charakteryzującą elitę duchową. Przypomnę, że ani stanowisko, ani bogactwo, ani wykształcenie nie jest wartością umożliwiającą zaliczenie kogoś automatycznie do elity duchowej.

Poczucie honoru ma istotne znaczenie w zawodzie aptekarza, bowiem – podobnie jak lekarz pierwszego kontaktu – pełni się swoistego rodzaju służbę publiczną. Honor to swoisty drogowskaz dla tych, którym życie upływa wśród ludzi. Honor osobisty spleta się w niepodzielną całość z honorem określonego zawodu.

Wąskospecjalistyczna edukacja

Druga połowa XX wieku, jak również nasze czasy, charakteryzują się kultem specjalizacji. Klinika kolana – to wyrazisty przykład postępującej specjalizacji. Jest ona *groźna*, bowiem wyspecjalizowany fachowiec nie dostrzega zachodzących powiązań, a świat łącznie z człowiekiem stanowi jedność. Rezultatem specjalizacji staje się na przykład zbyt łatwe przepisywanie lekarstw, nawet w tych przypadkach gdzie nastąpiłaby poprawa pod wpływem stosownej diety. Ale w tym celu należy pójść do dietetyka, bo lekarz chorób wewnętrznych o tym nie myśli.

Niebezpieczeństwo wąskiej specjalizacji przejawia się także w tym, że absolwenci wyższych uczelni nie dorównują swoimi horyzontami myślowymi osobom, które w okresie dwudziestolecia międzywojennego kończyły edukację zdaniem matury. Obniża się poziom naszej inteligencji również z tego powodu, że w ostatnich latach filozofia zosta-

ła wyrugowana z nauczania na rozmaitych wydziałach. Nawet egzamin przed rozprawą doktorską z nauk humanistycznych nie przewiduje filozofii jako obowiązkowego przedmiotu. Doczekaliśmy się sytuacji w której dyplom ukończenia wyższej uczelni nie stanowi wystarczającego powodu, by kogoś zaliczyć do grupy inteligencji. Jest to szczególnie niepokojące w przypadku nauk bezpośrednio zwróconych ku człowiekowi.

System edukacji obniżył się w ciągu ostatnich lat. Ponadto jest nastawiony na rozwój sfery intelektualnej uczniów i studentów. Sfera uczuć, doznań, kształtowanie charakteru oraz wyobraźni – nie są przedmiotem zainteresowania zabiegów edukacyjnych. Niezmiernie rzadko pojawiają się u nas instytucje – jak teatr Jerzego Grotowskiego Laboratorium we Wrocławiu – pomagające w rozwoju wewnętrznym. Jest oczywiste, że troska o rozwój sfery uczuć nie powinna być deprecjonowana na rzecz podnoszenia poziomu intelektualnego. Psychopaci, a więc osoby inteligentne, lecz odznaczające się niskim poziomem rozwoju uczuć i wrażliwości, kierujące się głównie popędami, są szczególnie niebezpieczne w środowisku lekarzy i farmaceutów.

Edukacja aptekarzy nie powinna się kończyć wraz z uzyskaniem dyplomu. Samokształcenie tej grupy zawodowej ma istotne znaczenie dla społeczeństwa. Również kształtowanie charakteru, troska o wyższy poziom reakcji uczuciowych i rozwój wyobraźni – powinien być obowiązkiem tych grup zawodowych, od których zależne jest zdrowie i życie człowieka.

Problem kształtowania uczuć na coraz wyższym poziomie jest sprawą istotną, bowiem współczesna psychologia wykazała, że nie ma stanów psychicznych wolnych od ich obecności. Leżą one u podstaw nawet z pozoru czysto racjonalnych procesów myślowych. Ponadto intuicja pełni istotną rolę w sztuce lekarskiej oraz w sztuce aptekarskiej.

Poznanie naukowe jest jednym z rodzajów poznania. Część uczonych z szacunkiem odnosi się do wiedzy wykraczającej poza sferę doświadczenia i dowodliwości rozumu. Człowiek wie więcej niż można to uzasadnić naukowo. Wybitni uczeni przyznają się do swojej niewiedzy.

Nasza świadomość nasycona jest stereotypami, mitami, przesadami, a także podlega manipulacji kultury obrazkowej. Rozum ulega też modnym poglądom, które szerzy kultura masowa oraz bywa bezbronny wobec siły poglądów przekazywanych na mocy nacisku tradycji.

Poziom kultury uczuć świadczy o kulturze osobistej, a tą powinni odznaczać się aptekarze.

cdn.

Maria Sajchowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie

Niech usłyszą wszyscy wszędzie

– Stój, poczekaj, moja duszko! Ja ci powiem coś na uszko! – powiedziała swym bursztynowym głosem błękitnooka i złotowłosa Wiosna, patrząc prosto w oczy piwno-okiej, jak heban czarnowłosej Luny.

– Co to będzie, co to będzie? Niech usłyszą wszyscy wszędzie, nie tylko my, tutaj, w salonie mych myśli przy okrągłym stole – odpowiedziała swym szmaragdowym altem Luna i uśmiechnęła się wiosennie, promiennie, chociaż na dworze jesienią. I uśmiechnęła się na okrągło, jak przystało przy okrągłym stole.

A przy okrągłym stole siedzimy sobie razem, Wiosna, Luna, filozof Pan Nietwór, asystent Daniel Spaniel i ja, pod postacią Autora, który patrzy, słucha, śni o czymś, coś wie, czegoś nie wie, ma nadzieję, ma zwątpienie, czegoś nie chce, a coś chce, nieustannie na coś czeka, ma nadzieję, o czymś myśli, jak każdy autor w salonie mych myśli.

– Wszystkie drogi prowadzą do salonu mych myśli – powiedział filozof Pan Nietwór, patrząc prosto w oczy błękitnookiej Wiosny.

– Maestro zawsze ma rację – uśmiechnęła się Wiosna wiosennie, chociaż na dworze jesienią. Wczoraj byliśmy z Luną w Polanicy Zdroju i odwiedziliśmy niedźwiedzia, który stoi jako pomnik niedaleko hotelu „Nasz Dom”. Bardzo się ucieszył i dał nam rozkaz. Pamiętajcie dziewczyny. Jutro w salonie mych myśli ustawcie mnie na okrągłym stole w mojej nieznannej wszystkim salonowej postaci, grającej główną rolę w czasie towarzyskiej biesiady.

– Znamy tego salonowego niedźwiedzia – zawołał Daniel Spaniel – to kufel piwa, do którego wlewa się kieliszek mocnej wyobraź-

ni. I wtedy znacznie łatwiej jest zobaczyć coś ciekawego na schodkach prowadzących do hotelu „Nasz Dom”.

– Na wszelki wypadek, najlepszy jest taki niedźwiedź – posumował filozof Pan Nietwór.

– Przed każdym z nas już stoi niedźwiedź na stole. Rozkaz niedźwiedzia wypełniony – powiedziała Wiosna.

– Jesteśmy w Polanicy Zdroju – powiedziała Luna trzymając w dłoniach kufel z niedźwiedziem, a ty, Wiosno, prowadź po tych schodkach prowadzących...

A co będzie, a co będzie? Niech zobaczą wszyscy wszędzie.

Na schodkach prowadzących do hotelu NASZ DOM

Wieczorem w Polanicy Zdroju
na schodkach prowadzących do hotelu „Nasz
Dom”

usiadła dziewczyna
Zdjęła biustonosz
i obnażyła piersi
a wtedy jej piersi zaświeciły
jak dwie sterczące latarnie
a wtedy koło dziewczyny usiadł
pewien niewidomy poeta
Z rękawa wyjął kartkę
zapisaną pismem brajla
i dotykając palcami
wypukłych punkcików liter
odczytał tekst:

Wieczorem w Polanicy Zdroju
na schodkach prowadzących do hotelu „Nasz
Dom”

usiadła dziewczyna
zdjęła biustonosz
i obnażyła piersi
a wtedy jej piersi zaświeciły
jak dwie sterczące latarnie
Skąd pan to wszystko wie?
Przecież pan nie widzi niczego na świecie
Przecież to ja panią wymyśliłem
Po co pan to zrobił?
Po co mnie pan wymyślił?
Po to aby „spieszącym się przechodniom”
i zainteresowanym czytelnikom
zwrócić uwagę
na wielką sprawczą rolę wyobraźni
w intelektualnym rozwoju ludzkości
w rozwoju kultury ducha i cywilizacji
Nigdy! Nigdy!
krzyknęła stłumionym głosem dziewczyna
nie zgodzę się być czymś naukowym
eksponatem

Wstała z miejsca
i trzymając biustonosz w ręce
szybko pobiegła w dół w stronę parku
Po chwili poeta zszedł z linii tekstu

Droga wolna!
Powiedział recenzent do ministra kultury
który nigdy nie czytał poezji

To coś niebywałego
Jej piersi zaświeciły
jak dwie sterczące latarnie – powiedział
minister
Możemy pójść za nią – powiedział recenzent
No to chodźmy – powiedziała noc tuląc się do
wieczoru
a jej piersi zaświeciły jak dwie sterczące
latarnie

Wieczorem w Polanicy Zdroju
na schodkach prowadzących do hotelu „Nasz
Dom”

pojawily się dwa cienie
Cień dziewczęcy usiadł
i zdjął swój nocny biustonosz
Cień męski ukląkł
i wyjął z rękawa swoje nocne serce
przebite strzałą
Dało się słyszeć ciche westchnienie
To coś niebywałego – powiedział minister
kultury

robiąc krok potknął się
jak niewidomy na niewidzialnej przeszkodzie
i skrzył nogę w kostce
To tylko wyobraźnia – powiedział recenzent
robiąc krok potknął się
jak niewidomy na niewidzialnej przeszkodzie
i skrzył nogę w kostce
Cholera jasna! zaklął to tylko przypadek
poprawił swą wypowiedź
A poeta idealny
wsiadł na swego Pegaza
i uniósłszy się w powietrze
poszybował nad dachami

Proszę pana droga wolna!
zwróciła się recepcjonistka
do pewnego niewidomego poety
który stał w holu
i sprawiał wrażenie
że chce wyjść z hotelu „Nasz Dom”
po schodkach w dół ulicą Cichą
do tego wzgóрка
na którym w pomnikowej formie
sprawuje „rząd dusz”
na terenie gminy Polanica Zdrój
kolega A. Mickiewicz
Nie dla każdego droga wolna
My niewidomi poeci
powiedział niewidomy jasnowidzący poeta
jesteśmy uwiezionymi ptakami ciernistych
krzewów
i ciernistych dróg usłanych różami naszych
słów
białymi i czerwonymi różami dla zakochanych
Polaków
uczniów i nauczycieli patriotów herosów
i „samotnych żagli”
dla szarej ludzkości
która obchodzi swe święta
w oparciu o alkohol i rogaliki marzeń
nadziewane różaną konfiturą
słodkiej nadziei

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Anna Andrych, „W oczekiwaniu”. Redakcja: Anna Andrych i Danuta Bartosz. Projekt okładki: Marcin Grabia. Akwarela na okładce: Małgorzata Zagórska-Kowalewska. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 78. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań 2015, s. 70.

Renata Jabłońska, „Inna”. Projekt okładki Piotr Misiorowski. Wydawnictwo „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi, Gołdap 2015, s. 78.

Jerzy Jankowski, „Listy”. Projekt okładki Krzysztof Galus. Przedmowa Marek Wawrzkiwicz. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 84.

Światopełk Karpiński, „Wiersze wybrane”. Wybór i posłowie Piotr Matywiecki. Projekt Michał Kaczkowski. *Biblioteka Zapomnianych Poetów*, tom 7. Ośrodek „Brama Grodzka, Teatr NN”, Lublin 2015, s. 116.

Tadeusz Luterek, „Zakola, wiatry zachodnie, refleksy”. Opracowanie graficzne Marzena Ściublińska. Projekt okładki Alicja Nadolska. Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne REGINA POLONI AE, Częstochowa 2015, s. 134.

Bronka Nowicka, „Nakarmić kamień”. Zdjęcie na okładce z archiwum autorki. Projekt okładki Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 129. Biuro Literackie, Wrocław 2015, s. 56.

Józef Pless, „Pro i kontra”. Rysunki Franciszek Starowiejski. Zdjęcie na IV stronie okładki Teresa Starowiejska. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2015, s. 76.

Elżbieta Szemplińska, „Wiersze wybrane”. Wybór i wstęp Magdalena Chabiera. Projekt Michał Kaczkowski. *Biblioteka Zapomnianych Poetów*, tom 8. Ośrodek „Brama Grodzka, Teatr NN” Lublin 2015, s. 108.

„Szyby są cienkie. Szwajcarskie wiersze włoskojęzyczne w tłumaczeniu polskich poetów”. Projekt okładki Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 128. Biuro Literackie, Wrocław 2015, s. 76.

Leon Zdanowicz, „Leoniki i inne wiersze wybrane”. Posłowie Piotr Müldner-Nieckowski. Grafiki Władysław Edward Gałka. Bogdan Zdanowicz, Kraków, Łobez 2015, s. 244.

PROZA

Magdalena Człapińska, „Opowiadania”. Redakcja: Maciej Andrzej Zarębski. Projekt okładki: Andrzej Jędrychowski. Korekta: Ludomira Zarębska. Wydawca: Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne, Zagnańsk 2015, s. 136.

Zadie Smith, „Lost and Found. Opowiadania”.

Przełożył Michał Kłobukowski. Projekt okładki Oksana Shmygol. Fotografia na i stronie okładki Darran Rees / Corbis. Wydawnictwo Znak, Kraków 2015, s. 160.

Stefanie Zweig, „Dom przy alei Rothschildów”. Przełożyła Anna Kierejewska. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne to/studio. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, s. 272.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Magdalena Boczkowska, „Miniatury. Szkice subiektywne”. Projekt okładki Bartłomiej Dudek. Oficyna Wydawnicza „Humanitas”, Sosnowiec 2015, s. 164.

Tadeusz Cegielski, „Detektyw w krainie cudów. Powieść kryminalna i narodziny nowoczesności 1841-1941”. Projekt okładki i stron tytułowych Aleksandra Nałęcz-Jawecka, Tomasz Kędzierski, to/studio. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2015, s. 376.

John Donne, „Medytacje. Alembik śmierci”. Przełożył i wstępem opatrzył Piotr Plichta. Projekt okładki i stron tytułowych Wieś. Na okładce wykorzystano fragmenty fresku Luki Signorellego *Zmartwychwstanie ciał* z kaplicy San Brizio w Ometo. Biblioteka „Opcji”, tom 21. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2014, s. 224.

„i cień i światło... O twórczości Adama Zagajewskiego / both lightandshadow... The Work of Adam Zagajewski”. Pod redakcją Anny Czabanowskiej-Wróbel. Projekt okładki, obwoluty i stron tytułowych Władysław Pluta. Zdjęcie Adama Zagajewskiego na okładce i obwolutie Anna Szwaja. Wydawnictwo as, Kraków 2015, s. 256 / 256.

Marek Konarzewski, „Na początku był głód”. Projekt okładki i stron tytułowych Karolina Tolka. *Biblioteka Myśli Współczesnej*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2015, s. 240, wydanie ii rozszerzone i uaktualnione.

Adam Macedoński w rozmowie z **Anną Zechenter**. *Pod czerwoną okupacją*. Na okładce wykorzystano zdjęcie Stanisława Markowskiego. Wydawnictwo AA, Kraków 2013, s. 432 + grafiki.

Paweł Marcinkiewicz, „Oni przybyli, żeby wysadzić Amerykę. John Ashbery i dwudziestowieczne awangardy amerykańskie”. Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Sitko. Na i stronie okładki wykorzystano fragment obrazu Jacques'a-Louisa Davida *Le Serment du Jeu de paume*. Fotografia autora na okładce Aneta Lis-Marcinkiewicz. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 113. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, s. 460.

Piotr Mitzner, Lazar Fleishman, „Metamorfozy

Lwa (Leona) Gomolickiego”. Projekt okładki Piotr Górski. Na okładce linoryt Lwa Gomolickiego. Fotografie ze zbiorów Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie. Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 1015, s. 316 + fotografie.

Andrzej Muszyński, „Cyklon”. Projekt okładki Agnieszka Pasińska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś / did.pl. Fotografia na okładce Andrzej Muszyński. Seria Reportaż. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 1015, s. 264.

„Noce romantyków. Literatura, Kultura, Obyczaj”. Pod redakcją Dominiki Skiby, Anny Rej, Mariana Ursela. Ilustracje Marcin Ból. Projekt okładki i stron tytułowych Sepielak. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015, s. 478.

Kazimierz Nowosielski, „Przez Ojczyznę i dalej... Szkice o literaturze i wartościach”. Projekt okładki Studio Karandasz. Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2015, s. 168.

Paweł Okoński, „Filozofia i los. Szkice typologiczne”. Projekt okładki i stron tytułowych Sepielak. Na okładce Zdzisław Beksiński, *Obraz AC7*, 1975. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015, s. 412.

Anna Helen Petersen, „Skandale złotej ery Hollywood. Seks, dewiacje i dramaty amerykańskiego kina”. Przełożyła Monika Skowron. Projekt okładki Magdalena Kuc. Fotografia na i stronie okładki Profimedia/GORBis. Znak Horyzont, Kraków 2015, s. 384, w tym fotografie.

Elżbieta Sieradzińska, „Cesaria Evora”. Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne Anna Poi. Zdjęcie na okładce Gerard Giaume / H&K. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, s. 466, w tym fotografie.

Aleksander Szumański, „Adam Macedoński i Aleksander Szumański z siedmiu pagórków fiesolskich”. Zdjęcie autora na okładce Danuta Butler. Opracowanie typograficzne Jan Rogóż. Kraków 2012, s. 120 + fotografie.

Adam Węglowski, „Bardzo polska historia wszyściego”. Projekt okładki Aleksander Czyż. Znak Horyzont, Kraków 2015, s. 318.

Witold Wirpsza, „Listy z oflagu”. Opracował, posłowiem i przypisami opatrzył Dariusz Pawelec. Wstęp Leszek Szaruga. Projekt graficzny serii Anna Paszkowska. Seria *Esej, Słowo, Rozmowa*. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 256.

„Życie to jednak strata jest. Andrzej Stasiuk w rozmowach z Dorotą Wodecką”. Projekt okładki, makiety Paweł Panczakiewicz. Zdjęcia Damian Kramski (okładka), Adam Golec / Agencja Gazeta. *Biblioteka Gazety Wyborczej*. Agora SA, Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2015, s. 184.

Niech usłyszą wszyscy wszędzie

(Dokończenie ze strony 22)

To coś niebywałego – powiedział minister
kultury
trzymając w ręku rogalik marzeń
nadziewany różaną konfiturą słodkiej nadziei
To tylko wyobraźnia – powiedział recenzent
i obaj weszli do hotelu „Nasz Dom”
kulejąc i kuśtykając jednakowo
co wszystkim rzuciło się w oczy

„Śpiewaj mi ptaku
silną pieśń bojową
bo serce smutne
nie jest mi potrzebne”
recytowała w myślach recepcjonistka
i nagle zawołała do wchodzących gości
Panowie! co wam się stało w nogi?
Czy to jakiś wypadek może przy pracy?

„Z listków drobnych i wiosennych
z twoich oczu migdałowych
wiersze wschodzą nie zachodzą
ludzi budzą świecą nocą”
To tylko wyobraźnia – powiedział minister
kultury

i w tej chwili zobaczył
że piersi recepcjonistki zaświeciły
jak dwie kieszonkowe latarki
To bardzo dziwny przypadek – pomyślał
recenzent

bo w tej chwili zobaczył
że piersi recepcjonistki zaświeciły
jak dwie kieszonkowe latarki
Całe szczęście że nic złego się nie stało
że to tylko wygłupy – uśmiechnęła się
recepjonistka

Świeciło słońce i dzień był złoty
a poeta?
Poeta idealny szybując nad Polanicą
mówił do Pegaza
dwa razy dwa jest cztery
jeden dodać jeden jest dwa
a Pegaz rżał i rżał z radości
wołał ludzkim głosem:
Poeto! Przystań się zajmować słowami
Czyń to co teraz czynisz
Poeto! Ty zajmuj się cyframi
liczbami rzeczywistymi
świat rachunkiem ekonomicznym stoi!

Chodźmy lepiej na piwo – powiedział
recenzent

O tam widzę wolny stolik

Świetny pomysł – powiedział minister kultury
Cztery dzielone przez cztery jest jeden
trzy razy jeden jest trzy
Poproszę trzy piwa – powiedział recenzent
jasne mocne
Dla kogo to trzecie? zapytał minister
Trzecie wypijemy na spółkę – odpowiedział
recenzent

Poeto! Ty zajmuj się cyframi
liczbami rzeczywistymi
rachunkiem ekonomicznym duszy ludzkiej
i świata

Wtedy cię odcyfrują
zaliczą cię zaliczą cię
do największych tego świata
Obwołają wizjonerem!
Obwołają Homerem wszechczasów!
Pegaz rżał radośnie
parskał buńczucznie
wołał rozgłośnie
zataczając kręgi nad Polanicą
aby poecie zawrócić w głowie
tym wieńcem laurowym
całkowicie cyfrowym
rachunkowo światowym

Oto trzy bomby piwa – powiedziała
seksbomba

piękna Beatka o migdałowych oczach
stawiając trzy pełne kufle
przed oboma panami
W tej właśnie chwili
coś ogromnego zasłoniło niebo
zasłoniło słońce
Mroczny cień padł na stolik z jasnym piwem
Monstrualnie wielki koński pysk
pochylił się nad stolikiem
i trzema młaśnięciami jęzora
opróżnił trzy kufle piwa
Ponad głowami usłyszano
czyjś homerycki śmiech
i zwycięski łopot gigantycznych skrzydeł
oddalającego się Pegaza
Co to jest? Co to było? krzyknął minister
kultury

Tego mogliśmy się spodziewać
Oni tu w Polanicy mają jeszcze
swojego zachowanego Pegaza – rzekł recenzent

Do stolika podeszła
piękna Beatka o migdałowych oczach
postawiła cztery kufle jasnego piwa
To na koszt naszej firmy powiedziała
żebyście panowie nie myśleli
że życie to tylko pieniądże
Jest jeszcze poezja
„Z listków drobnych i wiosennych
z twoich oczu migdałowych
wiersze wschodzą nie zachodzą
ludzi budzą świecą nocą”
wygłosiła tekst stojąc w pełnym słońcu

jak mitologiczna boginka
Jak to dobrze że to nie jest tylko wyobraźnia –
powiedział minister kultury
i podniósł do ust kufel piwa
Jak to dobrze że to jest tylko wyobraźnia
pomyślał recenzent
i podniósł do ust kufel piwa
Proszę panów tu są jeszcze słone paluszki
powiedziała piękna Beatka o migdałowych
oczach
i spojrzała w niebo
gdzie od tyłu wieków unosi się Pegaz
służąc nieśmiertelnej poezji
w naszym świecie tak pięknie
przemijającym w nieskończoność
Czy może coś jeszcze podać?
zapytała piękna Beatka o migdałowych
oczach

Bardzo panom dziękuję za towarzystwo
Było mi bardzo miło – powiedział poeta
idealny
wstając od stolika
Świeciło słońce i dzień był złoty

Andrzej Bartyński



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.